

KRESOWIAK GALICYJSKI

ISSN 1426-4773

Indeks 334596

MAGAZYN PUBLICYSTYCZNO-INFORMACYJNY POWIATU LUBACZÓWSKIEGO

Nr 10(131)

październik 2007 r.

Cena 2,00 zł

POWIAT LUBACZOWSKI NIE JEST OD MACOCHY

Z kandydatem na posła Mirosławem Karapytą rozmawia Marian Ważny.

Po raz kolejny uczestniczy Pan w wyścigu wyborczym. Wynika to z determinacji aby za wszelką cenę zostać posłem, czy też z wiary, że dopiero będąc parlamentarzystą może Pan dokonać więcej i tym samym zrealizować się jako polityk?

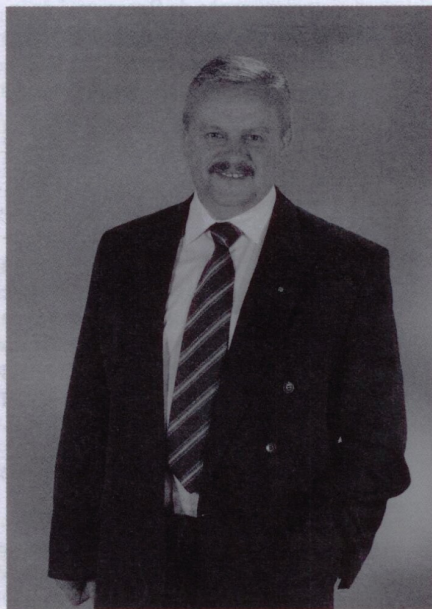
Decyzję o udziale w wyborach podejmuje się nie tylko ze względu na własne ambicje. Mój start wynika z przekonania, że mogę spełnić oczekiwania społeczne. Właśnie w takiej kategorii przestrzegam swoją decyzję. Tym bardziej, że po samorozwiązaniu parlamentu mój pogląd na własną działalność uległ korekcie. W pracy publicznej pełniąc różne role i funkcje zawsze przeświadcza mi cel aby działać z korzyścią dla powiatu lubaczowskiego. Szczególnie w samorządzie wojewódzkim miałem możliwość doświadczyć roli polityka regionalnego i na tym polu spotkałem się z aprobatą społeczną. Wydaje się że w obecnej rzeczywistości czas dla mnie na parlament. Wprawdzie decentralizacja państwa powoduje wzrost kompetencji samorządów, to jednak polityka i ustawodawstwo powstaje przede wszystkim w parlamencie, a do aktywnej obecności w nim, w moim przekonaniu jestem przygotowany.

PSL jest na progu wejścia do parlamentu. Czy nie lepiej byłoby gdyby o fotel parlamentarzysty ubiegał się Pan z listy PO? Takie przejścia przecież jak donoszą media są ostatnio modne.

Miejsce dla Polskiego Stronnictwa Ludowego w parlamencie zawsze było i będzie. Do PSL wstąpiłem z pełnym przekonaniem, a wszelkim koniunkturalizmem gardzę. Niestety obserwując scenę polityczną można stwierdzić, iż szereg polityków po niej skacze. Wiele nazwisk funkcjonuje od kilkunastu lat, ale nie ma ugrupowań, które by już nie reprezentowali. Sondaże nigdy nie były życzliwe dla nas. W ostatnich wyborach samorządowych w sondażach nasze poparcie wynosiło od 2% do 5%, a w województwie podkarpackim osiągnęliśmy 20%, w tym w powiecie lubaczowski 48%. A więc nie oddają one obiektywnej prawdy, jestem przekonany, że i w obecnych wyborach będzie podobnie.

Mirosław Karapyta wywodzi się z rodziny inteligenckiej i sam jest, będąc nauczycielem akademickim inteligentem. A PSL przecież to partia chłopska?

Zdecydowanie zaprzeczam takim poglądom. PSL już dawno wyszedł z butów partii zamkniętej tylko w wiejskich opłotkach. Oczywiście mamy swój elektorat w znacznej części wsi, ale



rozszerzamy się również na inne, w tym i miejskie środowiska. Dzisiejsze stronnictwo to partia szeroko otwarta, zrzeszająca wszystkich, dla których bliska jest wieś, trud rolnika, etos pracy i szacunek dla przyrody.

Niemniej jednak mogę powiedzieć, że wszystkie dotąd pełnione funkcje wiążą się również ze służbą dla wsi. A obecnie jako przewodniczący Klubu Radnych PSL zabiegam o interesy rolników. Czynię to również poprzez reprezentacje Stronnictwa w lokalnych mediach. Należy pamiętać, że parlament to nie tylko miejsce bezwzględnej walki politycznej o interesy różnych grup społecznych ale również jest on organem ustawodawczym. Z racji zamieszkiwania na wsi i znajomości specyfiki tego środowiska, mogę w działalności politycznej korzystać z mądrości ludzi ją zamieszkujących, co gdy zostanę posłem będzie procentować.

Dlaczego warto w wyborach oddać głos na Mirosława Karapytę?

Decyzję wyboru pozostawiam wyborcom. Natomiast pytanie pozwolę sobie odwrócić; dlaczego nie warto na kogoś oddawać głosu? Jako przykład można podać osobę wybraną w ostatnich wyborach z naszego okręgu Janusza Maksymiuka. Postawię retoryczne pytanie: Kiedy poseł Maksymiuk był w Lubaczowie, czy w Starym

cd. na str. 3

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

Dożynki Województwa Podkarpackiego w Oleszycach

Dożynki rozpoczęła uroczysta Msza św. pod przewodnictwem biskupa diecezji zamojsko – lubaczowskiej ks. Wacława Depo. Po mszy korowód dożynkowy przeszedł na stadion gdzie odbyła się dalsza część uroczystości. Po ceremoniale dzielenia się chlebem głos zabierali zaproszeni goście i przedstawiciele władz. Po wystąpieniach odbyła się degustacja potraw. Najwyżej oceniono „Zupę Zalewajkę” z powiatu nizańskiego, drugie miejsce zdobył powiat strzyżowski za „Zupę z gryki”, a trzecie za „Gołąbki z mączki” zdobył powiat lubaczowski. Z kolei specjalna nagroda za najlepszą nalewkę „Jeżynówka płazowska” przypadła KGW z Płazowa. Gwiazdą wieczoru była włoska wokalistka In – Grid na koncert, której przybyło kilka tysięcy osób. Na zakończenie dożynek odbył się pokaz ogni sztucznych i zabawa taneczna.

Kandydaci na parlamentarzystów

Zarejestrowane już zostały listy wyborcze. Znowu, chociaż mniejszy niż dwa lata temu mamy urodzaj na kandydatów do Sejmu. Z powiatu lubaczowskiego z listy PiS startuje Wiesław Kudyba z Cieszanowa. PO reprezentuje Kszysztof Szczepański i Grzegorz Sobolewski z Lubaczowa. Z ramienia PSL do Sejmu się wybiera Mirosław Karapyta z Nowej Grobli i Witold Gimlewicz z Lubaczowa. A kandydatem LiD na parlamentarzystę jest Jerzy Zając z Lubaczowa

Kino Melodia zagrozone

Od 1 września w wyniku decyzji Rzeszowskiej Fundacji Filmowej nastąpiła reorganizacja w zakresie dystrybucji filmów. Wiąże się to z narzuceniem przez dystrybutora pewnych, bez względu na zysk, gwarantowanych kwot za wynajem filmu. Tymczasem frekwencja na seansach była bardzo niska. Na niektóre seanse przychodziło dosłownie kilka osób. Zdaniem dyrektora MDK Andrzeja Kindrata niezbędnym jest 25 osób na seansie aby zapłacić za wypożyczenie kopi. Z kolei potencjalni widzowie narzekają na przestarzały repertuar i brak nowości. Nowości bowiem najpierw idą do dużych miast i dużych kin a dopiero później trafiają do takich miejscowości jak

cd. na str. 2

Lubaczów. Dyrektor Andrzej Kindrat zapewnia jednak, że gdy tylko oferta Rzeszowskiej Fundacji będzie ciekawsza kino wznowi działalność.

Ojciec uprowadził synów

Bernadetta Wróbel pochodząca z miejscowości Hurcze 8 lat temu wyszła za mąż za Włocha i zamieszkali w jego rodzinnej miejscowości nieopodal Rzymu. Z winy teściowej dochodzi do małżeńskich nieporozumień w wyniku, których od trzech lat nie mogła przyjeżdżać do Polski, bo mąż odebrał jej i dzieciom paszporty. Udało jej się jednak przekonać męża do jej wyjazdu do Polski na wesele brata. Zaraz po przyjeździe 3 lipca zwróciła się do sądu o ustanowienie opieki nad dziećmi i wniosła pozew o rozwód. Sąd Okręgowy w Przemyślu przyznał jej opiekę nad dziećmi i Bernadetta powiadomiła męża, że nie wraca do Włoch. Ojciec dzieci w towarzystwie brata jego dziewczyny i siostry 16 sierpnia przybyli do rodzinnej miejscowości Bernadetty, gdzie żonę namówił na wyjazd do Jarosławia na zakupy. Tu wykorzystując chwilową nieobecność matki ulotnił się z synami. Bernadetta o zajściu natychmiast powiadomiła policję, która bez zwłoki przystąpiła do działania. Komenda powiadomiła straż graniczną na wszystkich granicach Polski Południowo – Wschodniej o zaginięciu chłopców. Policja złożyła wniosek o wszczęcie poszukiwań międzynarodowych. Na razie nie udało się ustalić miejsca pobytu dzieci.

Tragiczny wypadek w Starym Lublińcu

W niedzielę 16 września około godziny 3.40 pięciu młodych mężczyzn zginęło w wypadku drogowym między Starym Lublińcem, a Zamchem. Podróżujący prawdopodobnie do Suśca Mirosław G, Sławomir S. (obydwaj lat 24), Michał H. i Kamil K. (19 lat) oraz Karol H. (18 lat) jadący daewoo tico wracali z dyskoteki w Obszy. Na łuku drogi samochód nagle zjechał na lewy pas ruchu i czołowo zderzył się z jadącym z przeciwka nissanem primerą, którą kierował 19-letni mieszkaniec Moszczanicy. Uderzenie było tak silne, że nissan wypadł z drogi i dachował. Daewoo z kolei zostało niemal całkowicie zmiażdżone. Pięciu mężczyzn jadących w tico zginęło na miejscu. 19-letni kierowca nissana z obrażeniami klatki piersiowej, głowy i nóg trafił do szpitala w Lubaczowie.

Trwają czynności wyjaśniające okoliczności tego najtragiczniejszego w ostatnich latach wypadku w naszym powiecie.

150 nowych miejsc pracy

W Lubaczowie w obiekcie po ZMB przez belgijską firmę ConTeyor została uruchomiona produkcja tekstylnych systemów opakowanych wykorzystywanych w sektorze samochodowym. Pracę w niej otrzymało już 25 bezrobotnych. Są to głównie kobiety, które od lat bezskutecznie szukały pracy. Trwa szkolenie kolejnej grupy. Do końca roku ma w zakładzie pracować 150 osób. Lubaczowska fabryka jest drugim zakładem tej spółki w Polsce. Pierwszą Belgowie uruchomili w Czechowicach – Dziedzicach na Śląsku. Siedziba uruchomionego zakładu jest tymczasowa. Firma belgijska ma w planie budowę własnego dużego zakładu.

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

„Katyń” Andrzeja Wajdy w kinie Melodia

Na ekrany kin w kraju wszedł głośny film Andrzeja Wajdy „Katyń”. „Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, realizując ten film, żeby odtworzyć stan mego serca z tamtych lat” - powiedział podczas premiery Andrzeja Wajda. Filmowy obraz Katynia wejdzie do zbiorowej wyobraźni jako przedstawienie polskiej niewinnej śmierci, przemilczanej prawdy, która zostaje ukazana z całą brutalnością. Dla mieszkańców powiatu ten film ma szczególną wymowę. Tutaj w Starym Dzikowie kręcona była część filmu. Cerkiew jest w filmie sowieckim obozem w Kozielsku, w którym Rosjanie przetrzymywali polskich oficerów przed egzekucją. A statystami było ponad 100 młodych mężczyzn z terenu powiatu. Stąd też wzmoczone zainteresowanie filmem. Aby go oglądnięć pielgrzymowano do Rzeszowa i do innych miast. A w Lubaczowie w kinie Melodia na kilku seansach sala była zapelniona.

Wyroki za podpalanie

Bracia 20 – letni Mariusz L. i 18 – letni jego brat Piotr należeli do OSP w Wielkich Oczach. Piotr w marcu br miał na swoim koncie dwie podpalone stodoly. Przesłuchiwany zeznał, że zrobił to ponieważ jako strażak chciał się wykazać w gaszeniu pożarów i tym samym zdobyć uznanie we wsi. Ale po jego aresztowaniu spłonęły kolejne trzy zabudowania. Okazało się, że podpalane one były przez brata Piotra. W ten sposób chciał zapewnić będącemu w więzieniu bratu alibi. Sąd Rejonowy w Lubaczowie za podpalenie stodół skazał Mariusza L. na 20 miesięcy więzienia nakazując mu równocześnie pokryć straty wyrządzone przez ogień.

68 rocznica bitwy pod Narolem

W Narolu odbyła się uroczystość 68 rocznicy bitwy pod Narolem, którą stoczył 16 Pułk Piechoty Ziemi Tarnowskiej Armii Kraków. W mszy świętej odprawionej w kościele parafialnym w Lipsku uczestniczyli mieszkańcy gminy, kombatanzi, młodzież i władze samorządowe. Wśród składających kwiaty był też uczestnik tej bitwy – szef tarnowskiego oddziału Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Po nabożeństwie odbył się przemarsz pod pomnik gdzie po odegraniu hymnu narodowego miały miejsce wystąpienia okolicznościowe, występy młodzieży szkolnej i złożenie kwiatów. W drugiej części uroczystości w UMiG starosta Józef Michalik podpisał umowę o współpracy kulturalnej pomiędzy powiatami lubaczowskim, tarnowskim i pszczyńskim

Protest w służbie zdrowia

Osiągnięte 20 września porozumienie w szpitalu w Lubaczowie okazało się nietrwałe. Po tym jak Rada Społeczna nie zgodziła się na podwyżki w wysokości 1000, dyrektor szpitala zaproponował nowe stawki – od 300 do 500 zł lekarze zaprotestowali. Uważamy, że wynegocjowany 1000 zł to minimum – powiedział dr Marian Lesiczka ze związku zawodowego lekarzy. W szpitalu wypowiedzenia złożyło 27 z 38 lekarzy. Nie wykluczone, że dyrekcja szpitala może podjąć decyzję o zawieszeniu działalności oddziałów. 25

września dyrektor szpitala podjął decyzję o wstrzymaniu przyjęć na trzy oddziały: noworodków, ginekologiczno – położniczy i pediatrę. Gdyby lekarze nie wycofali wypowiedzeń z pracy w szpitalu może odejść 76 ze 113 lekarzy.

Czekali na nielegalnych emigrantów

Straż Graniczna w Lubaczowie w pobliży granicy zatrzymała dwóch obywateli Ukrainy narodowości czeczeńskiej. Osoby te legalnie przybywały w ośrodku dla uchodźców w Dęboku i czyniły starania o status uchodźcy w naszym kraju. Funkcjonariuszom, którzy ich zatrzymali wyjaśnili, że czekają na grupę nielegalnych emigrantów, którzy mają być przetrzuceni z Ukrainy do Polski. Okazało się, że byli oni organizatorami przetrzutu, który się nie udał, ponieważ grupa emigrantów została zatrzymana na Ukrainie. Zatrzymanym obywatelom Ukrainy wymierzono karę 10 miesięcy pozbawienia wolności z zawieszeniem na dwa lata.

Wróciła sprawa o brutalne pobicie bezdomnych

Z końcem października 2006 roku bezdomni Marian M /47 lat/ i Zdzisław W. /51 lat/ przybywali w opuszczonym domu przy ulicy 3 Maja w Lubaczowie. Późnym wieczorem do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn: Daniel A. /19 l/ i Marcin K. /20 l./ Zgasili światło i pobili pijanych mężczyzn. W wyniku odniesionych ran Zdzisław W. zmarł. W czasie procesu przed Sądem Okręgowym w Przemyślu oskarżeni nawzajem obciążali się winą za śmierć pobitego. Biegły stwierdził, że poszkodowany otrzymał prawie 30 uderzeń w klatkę piersiową oraz głowę. Ciosy spowodowały obrażenia mózgu i krwika. Prokurator Jan Michalczyński domagał się 8 lat więzienia. Sąd uwzględniając młody wiek wymierzył karę po 6 lat pozbawienia wolności.

W sierpniu br. Sąd Apelacyjny w Rzeszowie na wniosek obrońców Daniela A i Marcina K. uznał, że sąd pierwszej instancji niewłaściwie ocenił stan faktyczny i wyciągnął błędne wnioski. Sprawa ponownie wraca na wokandę w Przemyślu.

Motocyklowy zlot Klubu

Stróżów Prawa w Werchracie

W Werchracie odbył się trzydniowy motocyklowy zlot Klubu Stróżów Prawa Blue Knigts Poland II. Współorganizowany on był przez dwóch funkcjonariuszy z KPP Lubaczów: asp. sztab. Mariusza Barana i mł. asp. Marka Przednowka. W programie zlotu było zwiedzanie powiatu w tym umocnień Linii Mołotowa. Wielką sensacją i zainteresowaniem dla mieszkańców wielu miejscowości był przejazd 70 motocykli trasą Werchrata- Narol- Cieszanów- Horyniec Zdrój - Werchrata. W każdej miejscowości podczas postojów mieszkańcy mogli podziwiać wspańiale i różnorodne motocykle .

Konsekwencje zostawienia

klucza w drzwiach

W Basznie Dolnej kobieta mieszkająca w bloku na pietrze wyszła na moment z mieszkania zostawiając klucz w drzwiach. Gdy po kilkunastu minutach wróciła zobaczyła, że z pokoju znikł telewizor. Natychmiast zadzwoniła na policję. Przybyli funkcjonariusze z relacji sąsiadki, która aku-

cd. ze str. 1

POWIAT LUBACZOWSKI NIE JEST OD MACOCHY

Dzikowie? Za to częściej widzieliśmy Pana Posła w Egipcie. Jestem osobą z tego środowiska i znam problemy ludzi. Ewentualny mandat poselski traktowałbym, jako zlecenie na kolejny wyjazd służbowy zlecony przez przez społeczność powiatu.

Każdy z kandydujących do parlamentu zapewnia, że będzie harował jak wół dla środowiska z którego został wybrany. Jak Pan by uwiarygodnił swoje zapewnienia?

Swojego zapewnienia nie będę odnosił tylko do pracy parlamentarnej. Dotychczasowa moja działalność to ciężka praca pełna wyrzeczeń. Mam ten komfort, że mojej kampanii nie muszę ograniczać tylko i wyłącznie do stwierdzenia „chciałbym”, a właśnie taką retorykę będziemy mieli okazję słyszeć w zbliżającej się kampanii.

Można się spotkać z opinią, że bez znaczenia jest fakt czy powiat będzie miał swojego posła bo jedna jaskółka wiosny nie czyni?

Ale chyba czas przestać z praktyką kiedy kandydaci z powiatu lubaczowskiego tylko i wyłącznie wzmacniają listy partyjne i dają głosy liderom. Jestem przekonany, że dzięki obecności w sejmie można przypominać o problemach takich regionów jak problemy ziemi lubaczowskiej. Pamiętajmy, że powiat lubaczowski nie jest od macochy.

Aktualnie jako radny sejmiku punktuje Pan dokonania koalicji. Z jakich starć na przestrzeni ostatniego roku jako opozycja wyszedł Pan zwycięsko?

Polityka regionalna nie zawsze opiera się na zasadzie „zwycięzca – pokonany”. Rolą opozycji jest wskazywanie błędów rządzącym. Tak też dzieje się w obecnej kadencji. W sejmiku PSL i PO są w opozycji. PiS utworzyło koalicję w konstrukcji podobną do tej która do nie tak dawna rządziła w kraju. Finał tej koalicji jest nam znany. Uważam że nie stać nas na takie eksperymenty w samorządzie wojewódzkim. Dlatego też PSL złożyło wniosek o odwołanie Marszałka i tym samym zarządu. Najistotniejszym problemem jest to, że Marszałek Województwa nie przedstawił do tej pory wizji rozwoju województwa. Obecnie ważne jest jak wykorzystamy pieniądze unijne na lata 2007-2013.

Problem nr 1 dla powiatu gdy zostanie Pan parlamentarzystą?

Stworzyć szanse dla młodych ludzi, którzy dzisiaj masowo wyjeżdżają. Może brzmieć to patetycznie i górnolotnie, ale może właśnie rolą parlamentarzysty powinna być konsolidacja środowiska na szczeblu powiatu i poszczególnych gmin w zakresie pobudzania aktywności. Położenie transgraniczne jest wielką szansą dla powiatu. Należy tylko zadbać aby powiat był dostępny komunikacyjnie i z powodzeniem zakończyć działania na rzecz budowy przejścia granicznego z Ukrainą w Budomierzu.

Spotkałem się z opinią, że Karapyta to polityk gabinetowy, ze słabą więzią ze środowiskiem?

Polityka jeżeli mówimy o niej poważnie jest skazana na gabinetowość. Nie mogę zgodzić się ze stwierdzeniem o słabych więziach z terenem. Choć w ciągu ostatnich pięciu lat pracowałem w Rzeszowie i może byłem mniej widziany w Lubaczowie, to jednak nie powodowało to zerwanie kontaktów z tym środowiskiem. Codzienny dojazd do pracy 164 km z Nowej Grobli do Rzeszowa jest ceną za utrzymanie stałej więzi z powiatem lubaczowskim. Dla tych którzy potrzebowali kontaktów byłem zawsze dostępny. Owocowało to współpracą i przynosiło pozytywne efekty.

Odnosił Pan oszołamiając sukces w wyborach do sejmiku uzyskując 12,5 tysiąca głosów. Wynik ten kontrastował z liczbą zdobytych głosów w wyborach do parlamentu przed dwoma latami. Czym tłumaczy Pan tę różnicę?

Ten kontrast jest ewidentnym przykładem na upartyjnienie wyborów parlamentarnych. W kampanii samorządowej głośniejsze jest na człowieka. Najbardziej widoczne jest to w wyborach bezpośrednich na wójta, burmistrza. Mój sukces, bo o takim można mówić pod względem ilości głosów dawał mi 1 miejsce w okręgu i 3 miejsce w województwie po senatorze Jaworskim i marszałku Rzońcy. Akuratnie ten wynik nie potwierdza tezy, że jestem politykiem gabinetowym.

Powszechnym zjawiskiem w powiecie jest fakt, że ludzie nie wierzą swoim i głosują na osoby nawet znane tylko z telewizji. Co by Pan powiedział takim wyborcom?

Jeżeli wyborcy bardziej przyglądają się programom i ludziom, powinni sami wyciągnąć wnioski. Przecież w samorządach wójtowie, burmistrzowie, starosta to członkowie PSL. Świadczy to o tym, że potrafimy być gospodarzami i jesteśmy odpowiedzialni. Poszukiwanie pewnego rodzaju autorytetów na dużej orbicie politycznej nie zawsze wychodzi na dobre, a nawet jest czystą abstrakcją. Należy uświadomić sobie, że problemy naszego kraju rozwiązują zwykli ludzie, którzy mają swoje „małe ojczyzny”, nie święci garnki lepią. Kultura polityczna niektórych regionów szczególnie w zachodniej części Polski wskazuje na to, że od lat powiaty mają swoich posłów. Świadczy to o odsunięciu na drugi plan aspiracji politycznych, gdzie na pierwszym planie jest interes regionu. Wyborcom polecałbym kie-

cd. na str. 4

„Biegną konie...”

„Biegną konie po stadionie...” – chciałoby się zaśpiewać, oglądając powiatowy i regionalny konkurs na najpiękniejszego i najsilniejszego konia. Biegały konie ze swoimi właścicielami stepem i kłusem po płycie stadionu „Czarnych w Oleszycach” w niedzielne popołudnie 16 września br., by jak najlepiej wypaść przed jurorami, którzy na koniach znają się znakomicie. Startowali przecież w wyborze miss, i to jakich koni – ogierów zimmokrwistych! Rywalizowali w wyborze najpiękniejszego konia w pow. lubaczowskim i miss w regionie, obejmującym powiaty: lubaczowski, jarosławski, przemyski, leżajski, kolbuszowski, sanocki i stalowowolski.

-To już druga edycja tego konkursu odbywana w Oleszycach. W pierwszej, ubiegłorocznej edycji startowały tylko konie z pow. lubaczowskiego. W tym roku połączyliśmy go z konkursem regionalnym, a być może w przyszłości odbędzie się tutaj konkurs woj. podkarpackiego. Nasza ocena nie zawsze jest zgodna z oceną publiczności. My w tym konkursie płytowym oceniamy typ i budowę konia, pokrój, ruch, temperament, itp. Chodzi nam o to, by te cechy przekazywał swoim następcom. Rozważamy i taką możliwość, by widownie mieli możliwość wyboru końskiego miss publiczności. – wyjaśnia kierownik Okręgowego Związku Hodowców Koni w Rzeszowie Marek Gibała.

Jurorzy - po długiej naradzie - zdecydowali, że najpiękniejszego konia na ziemi lubaczowskiej ma Franciszek Jabłoński z Cewkowa. Jego ogier „Wosk” został czempionem. Spośród 11 ogierów tytuły wice czempionów przyznano dla „Mosiądza” Edwarda Mamczury z Antoników i „Batora” Władysława Marynicza z Narola wsi.

W konkursie regionalnym ogier „Wosk” Franciszka Jabłońskiego otrzymał tytuł pierwszego wice czempiona regionu, obejmującego siedem powiatów. Jurorzy wyżej przed nim ocenili piękność ogiera „Lot”, którego



Konie w zaprzęgu do wozu i w ocenie użytkowej.

właścicielem jest Henryk Staroń z Brzyskiej Woli z pow. leżajskiego. Natomiast drugim wice czempionem został „Piorun” Wojciecha Miszczyka z Rzeszycy Okrągłej z pow. stalowowolskiego.

Gospodarze trzymają konie, by nimi robić w lesie, w polu, wozic towary. Dlatego odbył się drugi konkurs na najsilniejszego konia, takiego, który uciągnie duży ciężar, szybko ciągnie obciążony workami z piaskiem wóz stepem i kłusem. W każdym z tych elementów jurorzy przyznawali do 7 punktów. Koń mógł więc maksymalnie uzyskać 21 punktów.

Po bieźni stadionu na określonym odcinku drogi ciągnęły ogiery wozy raz w chodzie – stepem, drugi raz w biegu – kłusem, ale nie w galopie. Jurorzy mierzyli czas, przeliczali to wszystko na punkty. A potem blokowali najpierw jedno koło, potem dwa w wozie i oceniali jak konie spiszą się w uciągu. Konkurs ten zajął dużo czasu, ostatnie ogiery ciągnęły wozy w porze wieczorowej, po ciemku. W nocnej scenarii rozdawano też puchary, dyplomy, nagrody. Okazało się, że najszybszego i najsilniejszego konia posiada Tadeusz Żyła z Dachnowa. Jego „Saturn” by bezkonkurencyjny i otrzymał dolną ocenę „wybitną”. Ocenę „bardzo dobrą” jurorzy wystawili trzem ogierom: „Albionowi” Jana Deca z Wielkich Oczu, „Piorunowi” Wojciecha Miszczyka z Rzeszycy i „Błyskowi” Józefa Halesiaka ze Starego Dzikowa.

Puchary i dyplomy oraz nagrody wręczali: starosta lubaczowski Józef Michalik, burmistrz Oleszyc Maria Janowska – Placek, kierownik Okręgowego Związku Hodowców Koni w Rzeszowie Marek Gibała, prezes Powiatowego Związku Hodowców Koni w Lubaczowie Mariusz Kurek, dyrektor stadniny koni w Kalnikowie Józef Pekaniec, wicedyrektor Powiatowego Centrum Kultury i Sportu w Lubaczowie, który jest także wiceprzewodniczącym Rady Miasta i Gminy Oleszycy - Andrzej Gryniowicz.

Organizatorami tej ciekawej imprezy, cieszącej się dużą oglądalnością ludzi, którzy mimo przenikliwego zimna trwali na stadionie do wieczora byli: Okręgowy Związek Hodowców Koni w Rzeszowie, Starostwo Powiatowe w Lubaczowie i Urząd Miasta i Gminy w Oleszycach. Wszyscy powiedzieli sobie: Do zobaczenia za rok!

Adam Łazar

cd. ze str. 3

POWIAT LUBACZOWSKI NIE JEST OD MACOCHY

rować się pełną wiedzą o kandydacie a nie emocjami.

Co straciliśmy, jakie inwestycje ominęły powiat, tylko z faktu, że w stolicy brakło nam wsparcia?

Obecnie nie jest tak, że ktoś centralnie rozdaje jakieś inwestycje „losy czy fanty”. Wszelkie inicjatywy powinny rodzić się oddolnie. Najistotniejsza kwestia to trafne wyartykułowanie takich inicjatyw, co już w powiecie lubaczowskim zostało dokonane. Wiele pomysłów ma samorząd powiatowy jak i gminy. Tracimy tylko na czasie co wynika z faktu, że trudno przebić się z ofertami. Jest to bowiem długi proces.

Coraz mocniej utwierdza się opinia, że politycy to ludzie bez zasad. Praca parlamentu daje na to mnóstwo dowodów. Czy po to aby być skutecznym stanie się Pan takim czy też ważniejsze będą dla Pana zasady nawet kosztem kapitulacji w niektórych bataliach?

Rzeczywiście ostatnio wiele mówi się o degradacji elity politycznej. Wciąż bowiem bardzo ważna jest szeroka sfera kultury osobistej, czyli zespół norm, zasad i wartości. Uważam, że pewnych granic w tym zakresie nie wolno przekraczać. Dlatego bardzo odpowiada mi polityka PSL, która, szczególnie w ostatnim okresie akcentuje normalność. Uważam, że ludzie zmęczeni są już podsłuchami, seksaferami i pragną powrotu do pewnego ładu moralnego.

Dziękuję za rozmowę i życzę aby ten marsz do ludzkich serc i sumień był zwycięski.

Marian Ważny.

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

rat cały czas była przy oknie, dowiedzieli się, że w ulicze obok bloku zatrzymał się czerwony samochód. Jego kierowca i pasażer weszli do klatki. Po chwili jeden z nich wrócił do samochodu i podjechał nim pod samą klatkę. Z bloku wyszedł mężczyzna z telewizorem, który włożył do bagażnika. Kobieta jednak zapamiętała numery rejestracyjne, co spowodowało, że już po dwóch godzinach policjanci w Lubaczowie znaleźli samochód. Z skradzionym telewizorem w bagażniku. A dzień później jeden ze złodziei został zatrzymany.

Mazowsze w Cieszanowie

Na scenie cieszanowskiego amfiteatru wystąpiło 104 artystów Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze” im. T. Sygietyńskiego, w koncercie pt. „Barwy Polski”. Artystom akompaniował zespół muzyków, pod batutą Bogusława Kręgielewskiego. W programie widowiska znalazły się największe przeboje zespołu: pieśni ludowe „Piękna nasza Polska”, „Hej, przyleciał ptaszek”, „Nie zginaj kaliny”, „Cyt”, „Wysłabym za dziada”; tańce góralskie, żywieckie, lubelskie, krakowiak, figle i tańce z Podegrodzia. W drugiej części występu artyści zaprezentowali inscenizowane scenki ludowe – zapusty i zaloty, a także tańce w strojach historycznych (mazura i poloneza).

Kolorowe stroje, skoczne tańce, uśmiechnięte twarze tancerek i tancerzy wzbudziły zachwyt wśród publiczności, która zęgnęła artystów owacją na stojąco.

Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze” wystąpił dzięki staraniom Burmistrza Miasta i Gminy Cieszanów Zdzisława Zadwornego, który po koncercie podziękował artystom za występ, życząc dalszych sukcesów zarówno w kraju, jak i za granicą. Trzeba przyznać, że było to naprawdę niezwykle wydarzenie kulturalne, które zapadnie w naszej pamięci na długo.

VIII Międzynarodowe Warsztaty Artystyczne

Od 21 sierpnia do końca miesiąca trwały VIII Międzynarodowe Warsztaty Artystyczne Akademii Narodowej 2007. Uczestniczyli w nich młodzi uzdolnieni artyści specjalizujący się w muzyce dawnej.

Fundacja Pro Akademia Narodense organizuje warsztaty muzyczne i plastyczne dla uzdolnionej młodzieży z Polski i krajów sąsiedzkich, zwłaszcza Ukrainy. Jest to główna inicjatywa obecnego właściciela pałacu prof. Władysława Kłosiewicza, który korzystał z podobnych warsztatów w Austrii.

Ten wybitny klawesynista wspólnie z Urzędem Miasta i Gminy w Narolu organizuje w tym kresowym miasteczku w ciągu roku różne koncerty muzyczne i plenery malarskie. Tak było i tym razem. Wykładowcy i ich podopieczni oprócz normalnych zajęć dali trzy koncerty. W pierwszym, który odbył się w sobotę (25 sierpnia) o godz. 20 w cerkwi na Krupcu, na lutni i teorbie zagrał Antoni Birula, a na gitarze basowej Anna Kowalska. W niedzielę (26 bm.) o godz. 19 w narolskim kościele parafialnym na organach koncertowała Maria Erdman. Zegrali też uczestnicy warsztatów muzycznych. Kolejny koncert odbył się w środę (29 bm.) o godz. 20 ponownie w cerkwi na Krupcu, w którym wystąpił Marcin Zalewski na violi da gamba i prof. Władysław Kłosiewicz na klawesynie. Jeszcze raz zegrali z nimi młodzi utalentowani muzycy, uczestnicy tych międzynarodowych warsztatów.

A. Łazar

Jeszcze o zjeździe Czereśniaków

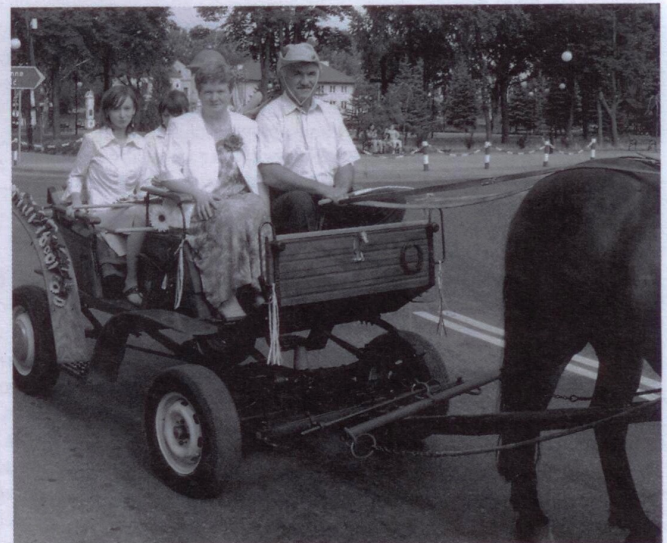
Artykuł o zjeździe czereśniaków zamieszczony w poprzednim numerze kresowiaka wywołał żywą reakcję. Otrzymałem szereg telefonów i listów. Fragmenty dwóch z nich zamieszczamy.

„Nie zgadzam się z podziałem jaki Marian Ważny dokonał przybyłych na zjazd czereśniaków: miejscowych i dalekich krewnych w tym sympatyków do których i ja się zaliczam. Z artykułu wynika, że to tacy jak ja, w przeciwieństwie do prawdziwych czereśniaków, nie czekając na zakończenie uroczystości rzucili się do „zarcia”. Tymczasem prawda była nieco odmienna. Jeśli idzie o moją osobę, to właśnie aktualnie mieszkająca rodzina w Czereśniach, argumentem, że później może braknąć dobrych miejsc pociągnęła mnie do konsumpcji pod namiot. Nie w podziale na sympatyków i mieszkańców Czereśni był problem, tylko w kwestii odpowiedniej kultury. Jako przybysz i w pewnym sensie obcy nigdy bym się nie odważył pędzić przed zakończeniem uroczystości za stół. Jak zauważyłem wielu innych, szczególnie rodziny, które przybyły z dziećmi nie miały w tym względzie najmniejszych skrępowań.

To fakt organizacja była nie najlepsza. Przecież elementarną zasadą jest, że konsumpcja na uroczystościach jest dopiero po zakończeniu części oficjalnej. Nie wiem więc jak mogli zapomnieć o niej organizatorzy zjazdu. Tym bardziej, że pamiętali o wielu innych nawet pozornie drobnych sprawach.”

- pisze Stanisław K.

„Mankamentem było dokonujące się żywiołowo zajmowanie miejsc pod namiotami. Oburzyła mnie pulchna czereśnianka, która gdy próbowałem wejść do jednego namiotu machając rekami piskliwym głosem krzyczała: Tutaj tylko nasza rodzina! Wszedłem do kolejnego namiotu, ale przepędzono mnie z niego argumentem, że wolne miejsca są tu zarezerwowane dla księży. Wprawdzie bez problemu znalazłem wolne miejsce w kolejnym namiocie ale zajmowanie miejsc nie powinno być potraktowane żywiołowo! Uważam, że rodziny co jakiś czas i tak się spotykają z okazji wesel,



Starostowie Jan Broż i Teresa Cwynar z wieńcem dożynkowym w drodze do kościoła. Za nimi: Magdalena Cwynar i Patrycja Barandowska.

chrzcina, pogrzebów. Tu chodziło o coś więcej. O integrację wszystkich, o przełamanie zamkniętych właśnie kręgów rodzinnych i doprowadzenie do sytuacji aby wszyscy tego niedzielnego popołudnia i wieczoru poczuli się jak jedna wielka rodzina. Nie wiem dlaczego w trakcie zabawy nie było tak integracyjnej zabawy jak „Masz chusteczkę malowaną” w czasie której starzy młodzi, sympatycy, czereśniacy mogliby się wziąć za ręce. Nie wiem też dlaczego nie było wystąpienia w którym zaprezentowano by historie tej miejscowości, w którym powiedziano by o ludziach którzy stąd wyszli jak i o dzielnych czereśniakach tu mieszkających. Była wspaniała okazja aby tak liczna publiczność o tej miejscowości coś usłyszała. Oczywiście przy formule „masówki” było to utrudnione. Ale w takiej sytuacji to przybyli na zjazd musieliby się dostosować do zaproponowanego programu a nie odwrotnie jak nastąpiło.” - pisze Zdzisław L.

Autor powyższego zdjęcia jak i fotografii zamieszczonej w poprzednim numerze Kresowiaka w artykule „Moje słodkie Czereśnie” jest Arkadiusz Cwynar.

Marian Ważny

Jacek Malczewski w lubaczowskim Muzeum Kresów

W salach wystawowych Muzeum Kresów w Lubaczowie w niedzielę 16 września br. otwarta została wystawa malarstwa Jacka Malczewskiego, głównego przedstawiciela okresu Młodej Polski i wybitnego reprezentanta symbolizmu.

Od maja do września w naszym muzeum czynna była wystawa prac wielkiego malarza Leona Wyczółkowskiego. Dziś otwieramy wystawę prac Jacka Malczewskiego, jednego z najwybitniejszych twórców w dziejach malarstwa polskiego, którego dzieła cieszą się dużym zainteresowaniem publiczności. Prace J. Malczewskiego podejmują złożony i bogaty dialog ze sztuką europejską, zachowując jednocześnie wielką niezależność. Jego twórczość stanowi trzon prezentacji polskiej sztuki okresu modernizmu. Wystawa „Jacek Malczewski w obrazach mniej znanych” została przygotowana przez Muzeum Okręgowe w Rzeszowie. Dziękuję obecnemu wśród nas dyrektorowi tego muzeum prof. Sylwestrowi Czopkowi za wyrażenie zgody na przeniesienie całej wystawy do Lubaczowa. – powiedział na otwarciu wystawy dyrektor Muzeum Kresów w Lubaczowie Stanisław Piotr Makara.

Na wystawie można obejrzeć 40 obrazów, szkiców i rysunków wykonanych przez Jacka Malczewskiego. Dzieła te pochodzą ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, Muzeum Okręgowego w Tarnowie, Muzeum im. Jacka Fischera w Bochni, Muzeum Okręgowego w Rzeszowie i Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej w Przemyśle. Komisarzem wystawy jest kustosz Muzeum Okręgowego w Rzeszowie Maria Stopyra, która podczas otwarcia wystawy przedstawiła sylwetkę Jacka Malczewskiego i



Otwarcie wystawy: od lewej stoją: dyrektor Muzeum Kresów Stanisław Makara, przy mikrofonie starosta lubaczowski Józef Michalik, komisarz wystawy Maria Stopyra, były dyrektor Muzeum Kresów

dokonała charakterystyki jego twórczości oraz oprowadziła licznie przybyłą publiczność po wystawie. Byli wśród niej przedstawiciele władz samorządowych; radny Sejmiku Województwa Podkarpackiego Mirosław Karapyta, starosta lubaczowski Józef Michalik i jego zastępca Krzysztof Szpyt, przewodniczący Rady Powiatu Lubaczowskiego Zbigniew Wróbel i zastępca Maria Magoń, przewodniczący Rady Miejskiej w Lubaczowie Zdzisław Cioch i zastępca Stanisław Kusek, wójt gminy Lubaczów Wiesław Kapel, pracownicy Muzeum w Rzeszowie, Przemyśle i Jarosławiu, były dyrektor Muzeum Kresów Zygmunt Kubrak.

Dzieła tego malarza spowodowały to, że ten salon Muzeum Kresów pełen jest ludzi kochających sztukę. Za tę obecność serdecznie dziękuję. Dyrektor Stanisław Makara wprowadził Muzeum Kresów do europejskiego grona muzeów. Mam nadzieję, że to współpraca zaowocuje międzynarodową wystawą – powiedział starosta lubaczowski Józef Michalik. Otwarcia wystawy towarzyszył koncert zespołu „Klezmer Trio”, który został zycielnie przyjęty.

Podziwiać możemy wiejskie sceny rodzajowe, piękne pejzaże ziemi mazowieckiej i wstrząsające sceny dramatyczne namalowane po klęsce Powstania Styczniowego. Na wystawie w lubaczowskim Muzeum Kresów na ma Jacka Malczewskiego w białym stroju, w zbroi, z hiacyntem czy „Pożegnania z pracownią”, ale są autoportrety przedstawiające artystę na tle dworku i pięknych drzew, świadomego swojej wielkości, mistrza palety, żyjącego u szczytu sławy. Są autoportrety kameralne, intymne i ukazujące dramat życia, gdy przed śmiercią stracił wzrok. Zmarł w 1929 r. w Krakowie. Pochowany w Krypcie Zasłużonych na Skałce. Odszedł nie cały. Pozostał w swoich obrazach, które nadal możemy podziwiać w muzeach i galeriach sztuki.

Warto zatem odwiedzić Muzeum Kresów, by spotkać się z wielką sztuką, podziwiać dzieła „giganta palety”, który pozostawił po sobie ponad dwa tysiące obrazów, z których 40 jest na wystawie w Lubaczowie. Wystawa czynna będzie przez dwa miesiące.

Adam Łazar

Wybory

Wkroczyliśmy w kampanię wyborczą. Dla mieszkańców powiatu lubaczowskiego wybije kolejna godzina próby. Czy wykażemy się dojrzałością obywatelską, weźmiemy liczny udział w wyborach i wybierzemy najlepszych. Czy też damy się ponieść hasłom i postawimy na ludzi znanych nam tylko z mediów.

Zdumiewa stosunek znacznej części mieszkańców powiatu do wyborów. Hołdują oni hasłu: Każdy byle nie swój, byle nie ktoś od nas. Lepszy Maksymiuk, Kuchciński ponieważ znamy ich z telewizji, są bojowi i potrafią dokładać komu trzeba. Gdy mimo wszystko upominam się o nazwiska z terenu naszego powiatu dość często słyszę: Nie ma tu dobrych kandydatów, żaden ze startujących nie ma szans. Z góry więc zakłada się klęskę miejscowych, dyskwalifikuje się ich kompetencje.

Niestety w powiecie brak tradycji aby stawiać, promować swoich. Nie przypadkowo szefostwo wielu placówek i instytucji jak Policji Urzędu Skarbowego, Straży Pożarnej Sanepidu rekrutuje się z ludzi spoza powiatu lubaczowskiego. Za to powiat zawsze był i jest dogodnym zapleczem do zdobywania głosów przez polityków z zewnątrz. Trzeba przyznać, że w akcji tej sprzyja im liczne grono miejscowych liderów partyjnych, którzy ludzą się, że za służalczość zdobędą sobie określone profity. Niestety kandydat z powiatu pozostaje dzieckiem od machocho.

Tymczasem odróżnienie ziarna od plew, ze względu na bliski termin wyborów, będzie wyjątkowo trudne. Wchodzimy bowiem w wyjątkowo brutalną kampanię, w tygodnie wielkiej zawieruchy, gdzie rojno od dyskryminowania i spotworniania innych, samochwalstwa, strojenie się w złote piórka, grania na ludzkich emocjach. Jesteśmy tumanieni, straszeni i zawodzeni za pomocą wszelkich technik reklamowych. W takim chaosie trudno się polapać i decydują spontaniczne odruchy. A to oznacza, że głosujemy na kandydatów, którzy się nam podobają. Miło się uśmiechają w telewizji, potrafią w dysputach mocno dokopać drugiemu. Zapewniają, że ukróć złodziei, bogaczy, stworzą nowe miejsca pracy. Pokusa zajęcia miejsca w parlamencie, profity z tym związane są tak duże, że pewna kategoria osób nie przebiera w środkach aby zdobyć mandat posła.

A więc warto wybory potraktować z wielką obywatelską odpowiedzialnością i troską. A to oznacza, że bezwzględnie winniśmy wziąć w nich udział. Zanim jednak rzucimy kartę do urny winniśmy sobie odpowiedzieć na pytania czy kandydat, na którego mamy zamiar oddać głos sprosta zadaniu. Czy jego dotychczasowe dokonania, zaangażowanie w życie społeczne dają gwarancje, że ta osoba będzie pamiętać o naszym powiecie? A kto daje większą pewność w tym względzie jak nie kandydat z naszego powiatu! Osoba znająca miejscowe realia z doświadczeniem w pracy samorządowej i publicznej. A takich jednostek ze społecznikowskim zacięciem, z dużym doświadczeniem w pracy samorządowej, które godnie z korzyścią dla powiatu pełniłyby funkcje parlamentarne zdecydowanie nie brakuje. Przykładem pozytywnym może być Mirosław Karapyta.

Postawa obywatelska każe odłożyć na bok nasze sympatie i barwy polityczne. Tymczasem gdy pytam znajomych na kogo będą głosować padają zaskakujące odpowiedzi. Jestem pravicowcem i najbliższa jest mi PiS, mam poglądy lewicowe, dlatego zagłosuję na LiD. Jeszcze inni dodają, że jako katolicy zagłosują na LPR. A gdy pytam jak potraktują kandydatów z naszego powiatu odpowiedzi bywają wymijające. A przecież postawa obywatelska każe oceniać kandydata nie poprzez pryzmat barw partyjnych ale jego jego dotychczasowych dokonań, więzi ze środowiskiem z którego startuje.

W realiach demokracji jaką mamy od 1990 roku głos decydujący należy do organów przedstawicielskich, a więc do parlamentarzystów. To oni mają dojścia do ministrów, premiera. To oni mają prawo składać interpretacje, żądać wyjaśnień. Stąd też teren, powiat mający swojego parlamentarzystę ma zdecydowanie większe szanse na rozwój. Niestety ta elementarna prawda z uporem dociera do świadomości mieszkańców naszego powiatu. Od 1980 roku tylko raz i to na niepełną kadencję w osobie Józefa Michalika powiat miał swojego parlamentarzystę.

Jak sobie pościelisz, tak się wypisz – mówi przysłowie. Podobnie jest w życiu społecznym. Można pójść za pierwszym odruchem i wyborach postawić na ludzi znanych tylko z telewizji. I później odczuwać satysfakcję gdy znowu się ich zobaczy na ekranie w sejmie. Jednakże idąc tym tropem źle życzymy powiatowi i w pewnym stopniu sobie samym. Wybory to akt obywatelskiej odpowiedzialności. A to oznacza, że wybieramy z pełnym przekonaniem najlepszego. Osobę, która najlepiej przysłuży się mojemu miastu, wsi, gminie. Tylko taka postawa zapewni sukces i powiat lubaczowski będzie miał posła.

Marian Ważny

PUSZCZA SOLSKA JESIENIĄ

Dla wielu miłośników lasu Puszcza Solska dopiero jesienią w całej krasie odsłania swe piękno. Promienie słońca z ukosem wdzierają się w głąb starodrzewia, który mieni się purpurą i złotem. Fruwające liście, które ścielą się dywanem złocistym. . . W górze jakieś żałosne smętne nawoływania ptaków szykujących się do odległych lotów na południe. Puszcza przez wielu z nich zostanie osierocona. Za to zasilają ją skrzydlaci przybysze z północy i wschodu oraz młode pokolenie sarenek, zajęcy dla których jesień to w ich życiu pierwsza pora roku. Jesienne poranki w puszczy stają się jakieś leniwe i gnuśne. Słońce wstaje wiele później, to też i cała przyroda otulona w pasma mgły i ozdobiona brylantami rosy śpi dłużej. Zamiast świeżej woni pachnących kwiatów zapach żółknących liści i zwiędłych zielsk po pierwszych przymrozkach. Wilgoć i chłód rozsiada się na wszystkich polanach i wciska się w każdy zakątek puszczy. I co za bogactwo kolorów? Wprawdzie brak soczystej zieleni, to jednak majestat puszczy wciąż urzeka swym pięknem. To tylko tutaj ogarnia nas spotęgowana nostalgia za każdym odchodzącym dniem i zaduma co przyniosą kolejne.

Już we wrześniu w borze niewiele już spotyka się kwiatów. Tu i ówdzie tylko złoci się jakiś jastrzębiec lub kiść nawłoci. W suchych borach sosnowych przekwitają kobierce liliowych wrzósów a gdzie indziej pachną jeszcze płaty macierzanki. Nadal też zarodnikują paprocie i widłaki. Jest jeszcze obfitość jagód, dojrzewają masowo jeżyny, w runie leśnym borówki brusznice a w borach bagiennych w pobliżu Tanwi żurawiny. Z drzew i krzewów sypią się dojrzałe owoce, żołądź, orzechy laskowe i inne. A na drzewach szpilkowych szyszki się rozpadają i sypią się z nich drobne skrzydlate nasiona.

W rezerwacie Bukowy Las dojrzewają osadzone po dwa w zdrewniałej brunatnej okrywie trójgraniaste orzeszki buku. Dojrzewają również nasiona olszy, skrzydlaki klonu, lipy a w podszyciu lasu owoce bzu czarnego, kruszyny. Szczególnie urokliwie wygląda obsypana czerwonymi jagodami jarzębina i kalina koralowa. Małe drobne czerwone owoce zdobią również krzaki głogu, róż dzikich i berberysu.

Z każdym dniem coraz mniej widać motyli. Pod koniec września zjawia się babie lato Małe pajęczki snują długie białe nici miłości, za pomocą których z wiatrem wyruszają w dalekie w wędrówki. Przy długotrwałej pogodzie welony przędzą babiego lata zawieszają się i oblekają całe drzewa.

Wrzesień i październik to miesiące pełne szelestu odlatujących skrzydeł. Jaskółki, słowiki i jerzyki już odleciały. Puszcę opuszczają szpaki, skowronki, wilgi, drozdy, myszołowy. Podczas przelotów zatrzymują się tutaj liczne ptaki z północy a wśród nich czyżyk, zięba, wrona, myszołów. Wiele ptaków jak np. dzięcioł, puchacz, jastrząb, kuropatwa, szczygieł, wróbel, sikora, sroka zostają. Wśród ssaków również widać już przygotowania do zimy. Zaczyna zbierać zapasy na zimę wiewiórka, uganiając się po drzewach.

Napelniają też spizarnie niektóre inne drobne gryzonie. Zwierzęta, które spędzą zimę we śnie przebijają teraz na wadze gromadząc pod skórą zapasy tłuszczu.

W październiku lasy mieniają się bajecznymi kolorami liści. Żółte są liście brzoź, lip, klonów, topoli. Tylko liście osiki przybierają kolor czerwony a liście dębu czerwony. W borze już nic nie kwitnie. Wyjątkowo tylko można trafić na żółte baldachy jastrzębca baldaszkowego. A w młodnikach sosnowych złocą się jeszcze gdzieś niedługo cytrynowe koszyki jastrzębca kosmaczka. Za to z dębów i buków sypie się coraz więcej żołądź i buczynowych orzeszków. Dojrzewają pojedyncze, skręcone skrzydłaki jesio-



nu. W październiku dojrzewają szyszki świerka. Natomiast szyszki jodeł, który zaczęły dojrzewać już we wrześniu rozsypują się teraz w szybkim tempie.

W październiku prawie nie widać już fruujących owadów. Dla większości gatunków, jak zresztą i innych kręgowców, zaczyna się w tym czasie długi okres snu zimowego, który spędzają w różnych postaciach. Liczne chrząszcze – w postaci osobników dorosłych, motyle – zazwyczaj jako poczwarki lub gąsienice, pluskwiaki – często w postaci jaj.

Wierni puszczy nawet w zimowe mrozy pozostają czworonogi. Część z nich zapada w sen zimowy. Należą do nich niektóre drobne gryzonie, które intensywnie odżywiają się przez lato i jesień, gromadzą zapasy w przygotowanych spichlerzach, potem zbierają miękką ściółkę i zasypiają głęboko w swych dziuplach lub norach pod ziemią. Tak też spędzają zimę różne drobne ssaki jak np. borsuki, które utuczywszy się jesienią porą wyścielają sobie wygodnie jamy, zatykają jej otwory liśćmi i trawą po czym układają się do snu zimowego z zapasem własnego sadła.

Jakże smutno i głucho byłoby w puszczy gdyby wszyscy jej mieszkańcy schowali się w kryjówek przed nadchodzącą zimą. Zasiłło ją przecież młode pokolenie saren, jeleni, dzików zajęcy, wilkom, którym wyrastają już zęby. Do rodziny przylączają się młode wilki z poprzedniego roku

i w ten sposób powstają niewielkie stada, które już przez całą zimę będą razem polowały.

Jeleń ozdoba puszczy i zarazem najpiękniejszy zwierz już od września rozpoczyna swoje gody miłosne, zwane rykowiskiem. Latem jelenie przeważnie chodzą dużymi stadami. Osobno samce – byki, osobno samice – łanie. Jesienią gdy zbliża się pora ich godów, stada topnieją, zwierzęta rozchodzą się tworząc mniejsze i większe grupy. Silniejsze starsze byki wybierają sobie kilka, a czasem kilkanaście łań i wędrują własnymi szlakami. Czasem można również spotkać dorodne byki poza stadem – chodzą one pojedynczo i szukają łań. Od zmiernych do rana roznosi się potężny zew miłosnej pieśni. A samice saren tracą rogi. Wiewiórki kontynuują gromadzenie zapasów na zimę. Gromadzą orzechy, żołądź i różne inne nasiona i owoce.

Pod koniec października coraz liczniej zaczynają opadać liście tworząc miękką rudę kobierzec. W lesie robi się coraz przejrzystej. Tylko z nielicznych drzew np. olszy czarnej liście opadają zupełnie zielone. W stanie zielonym utrzymują się też na drobnych krzewinkach, jak np. borówce i wrzosie, które nie tracą ich przez całą zimę.

W ciągu października zbierać można zwykle większość gatunków grzybów, zarówno letnich jak i jesiennych. Jednakże nie ma ich już tak dużo jak w poprzednich miesiącach. Jeszcze bieleją tu i ówdzie duże kapelusze mleczajaka chrząstki. Spotyka się też obficie szare kapelusze gąski niekształtnej. Nie ma już w tym czasie najwar-

tościowszych borowików.

I listopad. Wichry strącają z drzew i krzewów resztek liści, nieliczne pozostają tylko na dolnych konarach dębów, grabów i odrostach korzeniowych. Pod koniec miesiąca drzewa stoją już zupełnie nagie. Na niektórych jednak wcześniej kwitnących jak olcha brzoza, leszczyna już w jesieni wyrastają z pączków maleńkie, silnie jeszcze zwarte bazie pręcikowe, które czekają przez całą zimę na nadejście wiosny. Gdy z drzew sypią się liście w puszczy traci swe szpilki tylko modrzew. Za to dojrzewają ostatnie szyszki sosien, świerków i modrzewi a także szyszkojagody jałowca. Z kolei na terenach bagiennych w pobliżu Pauczy, Tanwi na poduszkach mchów torfowych można zauważyć wielkie czerwone jagody żurawiny. Pod koniec listopada ostatnie ptaki tu nie zimujące już odleciały. Jako jeden z ostatnich puszcę żegna rudzik. Jego odlot trwa długo a pojedyncze osobniki pozostają u nas nawet do zimy. Jeż zapada w sen zimowy. Dziki gromadzą się w większe stada a samce staczają z sobą zacięte walki.

Promienie słońca barwią leśne wędzące runo Wiatr zrywa ostatnie liście z drzew. Nagie konary buków, brzoź, grabów wyglądają smutno i siorocą. Na szczęście nieprzemijająca zielen sosien i jodeł obecność zwierząt i ptaków przypomina, że puszcza jest wiecznie żywa, nieśmiertelna.

Marian Ważny

MOJE KSIĄŻKI - MOJA MIŁOŚĆ

Kiedy ogarniam swe młode lata wzrokiem widzę tylko książki. Wszystkie najwyższe, pełne emocji wspomnienia z dzieciństwa wiążą się z książką. To im zawdzięczam niezapomniane chwile wzruszeń, podróże po wszystkich kontynentach i w odległe wieki. Z Robinsonem Kruzoem byłem na bezludnej wyspie, czytając „W pustyni i puszczach” ze Stasiem i Nel wędrowałem po Afryce, z Markiem Twainem pływałem po Missisipi. Już w podstawówce oczarował mnie Sienkiewicz. Trylogia stała się moją ulubioną lekturą, do której wciąż chętnie wracam. Całe fragmenty Pana Wołodyjowskiego i Ogniem i Mieczem znam na pamięć. Książki dziecinne nigdy nie wchodziły w rachubę. Nie pamiętam ani jednej bajki ani baśni.

Pierwsze wyjazdy do miasta wiązały się z książką. Z trudem odrywałem oczy od wystawy na której były książki. Przebiegałem oczami tytuły, szukając wśród nich znajomych mi autorów. Marzyłem wówczas aby jak największą ich ilość mieć na własność i czytać, czytać bez końca. Stąd wszystkie zaoszczędzone pieniądze zdobywane ze zbierania ziół przeznaczałem na zakup książek. Byłem bardzo dumny z kompletowanej biblioteczki i traktowałem ją jak największy skarb. Dlatego też moim światem były regały pełne książek.

Niezwykłym odkryciem był dla mnie Adam Mickiewicz. Strofy jego wierszy wzruszały mnie do głębi. Mało tego, że przeczytałem wszystkie jego utwory, to jeszcze wiele z nich znalazłem na pamięć. Szczególnie, również znane na pamięć, zauroczyły mnie Ballady i Romanse. A do głębi poruszał mnie wiersz Świtez. Już wówczas zapragnąłem aby kiedyś znaleźć się w miejscu gdzie:

Świtez tam jasne rozprzestrzenia łona
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęsta po bokach puszcza oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Po wielu latach marzenia stały się rzeczywistością. Odwiedziłem Wilno i z Nowogródka po pół godzinnej jeździe leśnym traktem powitała mnie „gładka jak szyba lodu” obramowane lasami jezioro Świtez. Wszystko tu tchnęło najczystsza poezją. W wyobraźni widziałem wędrującego brzegami młodego Mickiewicza.

Czytałem zapamiętałe przy pasieniu krów, w czasie krótkich przerw w pracach w polu, jadąc na furmance, nawet w szkole. A przede wszystkim w długie jesienno-zimowe wieczory. Wówczas po odrobieniu lekcji można się było zabrać za lekturę ulubionych książek. Oczywiście czytanie niekiedy pociągało za sobą bardzo przykre konsekwencje. Ot pogrążony w lekturze zapomniałem o krowach, które zniknęły w leśnym gąszczu. Konsekwencją było później ich długie morderne poszukiwanie. A w szkole przyłapano na czytaniu, w czasie nudnej lekcji, wzywano byłem do tablicy, przy której nauczyciel z satysfakcją udowadniał mi nieuczucie.

Obcowania z książkami dzieliłem z lekturą gazet. Pasję ich czytania przyjąłem od ojca. To on od młodych lat był ich namiętym czytelnikiem. Każdy jego wyjazd na targ do Lubaczowa wiązał

się z zakupem znacznej ilości gazet. Wprawdzie dla mnie był „Płomyk,” to również bardzo wczesnie zabierałem się za lekturę gazet dla dorosłych. Był nim systematycznie kupowany przez ojca „Przekrój”, a w prenumeracie „Rolnik Polski”, „Przyciółka”. Również w podstawówce sięgnąłem dostępnego w bibliotece miesięcznika „Wiedza i Życie”. Lektura gazet była jak przysmak i porcjałem ich konsumowanie. Szczególnie ich rozległy asortyment kupowany był na święta. Ale ojciec zaprowadził zwyczaj aby za gazety, tak jak za ciasta, zabierać się dopiero w dniu święta! Czytanie gazet wiązało się dla mnie z szerokim środowiskowym rezonansem. Dysponując wiedzą z prasy, mogłem się włączyć w szermierkę słowną z dorosłymi. Rozpierała mnie duma, gdy jakąś ciekawą przeczytaną informacją mogłem zaimponować sąsiadom.

W podstawówce królestwem moim stała się



Autor z rodzicami Emilią i Rudolfem.

Gminna Biblioteka w Cieszanowie. Ilekroć wkroczałem w jej progi, czułem się tak jakbym wstępował do raju. Moja zachłanność wówczas nie miała granic. Zawsze pragnąłem aby jak największą ilość książek mieć w rękach i na podstawie tytułów, autorów, ilustracji czy przeczytanych naprędce fragmentów, wybrać najlepsze, najbardziej mnie interesujące. Oczywiście wiązało się to z wędrowką po półkach. Ale na szczęście kierowniczka Pani Jadwiga Piwucka była wobec mnie bardzo wyrozumiała i tolerowała buszowanie po regałach.

Moje aspiracje czytelnicze szybko rosły. Po Sienkiewiczu, Kraszewskim przyszła kolej na Żeromskiego, Reymonta, Dąbrowską. Bliscy stali mi się autorzy obcy a wśród nich Dickens, London, Tolstoj. Hugo. Szczególnie ten ostatni oczarował mnie w dzieciństwie. Książkę „Nędznicy” przeczytałem trzy razy. Kończyłem czytanie tej powieści i tego samego dnia zaczynałem czytać od początku. Zdobyłem mapę Paryża i zaznaczałem na niej wszystkie miejsca gdzie toczyła się akcja powieści. Jak gdybym sam brał w niej udział – i dotąd w głębi duszy uważam Jana Valcjeana, Kozetę i Gavrochea za przyjaciół mego dzieciństwa. Z czasem coraz trudniej było mi znaleźć nową, ciekawą, nie czytana dotąd przeze mnie pozycję.

Lektura książek, przy wysoko wiszącej na ścianie lampie naftowej, wymagała nie lada wysiłku. Dopiero gdy wszyscy szli spać mogłem ją postawić sobie w pobliżu. Wprawdzie gdy zbli-

żała się wiosna znikły długie wieczory, ale za to pojawiała się praca w polu i na „próżnowanie” za które uważano czytanie książek było coraz mniej czasu. Jaka była moja radość gdy w 1956 błysło światło elektryczne. Komfort lektury stał się niebywały. Cieszyłem się ze zbliżającego się deszczu, wieczoru, niedzieli, zimy. Powód zawsze był ten sam. Będzie czas na na lekturę książek!

Jak wspominałem nasz dom rodzinny przez długie lata pełnił rolę swoistej czytelnicy. W długie jesienno-zimowe wieczory schodzili się tu bliscy a nawet dalsi sąsiedzi. Dokonywano tutaj swoistego przeglądu prasy a ciekawsze artykuły komentowano i nawet ich fragmenty głośno czytano. Przede wszystkim opowiadane były przeczytane książki. Mistrzem w tym względzie był nasz sąsiad Jan Barandowski. Bez trudu odgrzebuje w pamięci zimowy wieczór sprzed ponad półwiecza. Kiedy to opowiadał zebranym „Pana Wołodyjowskiego” Wicher łomotał o ściany. Było już chyba po północy, gdy narrator przeszedł do sceny w katedrze, w której na katedrze spoczywały zwłoki małego rycerza a książdz wszedł na ambonę. W tym momencie Barandowski chwycił stojący na brzegu kuchni rondel i zaczął weń palcami bębnić, a głosem rwącym się ze wzruszenia zawołał: *Panie Półkownika Wołodyjowski! Larum grają! Wojna! Nieprzyjaciel w granicach! A ty się nie zrywasz! Szabli nie chwytasz! Na koń nie siadasz! Dreszcze przechodziły mnie po plecach i czułem bicie własnego serca, a w nocy śnił mi się sienkiewiczowski bohater na murach Krzemieńca.*

Te relacje były teatrem jednego aktora, improwizacją, meldunkami z pola bitwy. Godne uwagi było to, że w opowiadanych książkach nie omijał niczego – ani opisów przyrody, ani stanów duchowych bohaterów. Zdumiewające, że nie nauczyciele, ale ten człowiek mający ukończonych tylko 4 klas szkoły rozpałał moją miłość do książek!

Zdawać by się mogło, że jako zapalony czytelnik książek cieszyłem się uznaniem nauczycieli. Bardzo było dla mnie bolesne, że niestety zawsze działało się wręcz odwrotnie. Ze swych szkolnych lat, za moją pasję czytania, za miłość do książek nie jestem w stanie wygrzebać ani jednego słowa uznania ze strony nauczycieli. Choć nie raz starałem się zaimponować swą wiedzą i odczytaniem. Ot dla zdobycia pozytywnej oceny wystarczyła tylko znajomość lektur. Niewiele też zmieniały nawet moje rozmowy z polonistami. Utwierdzały one mnie tylko w przekonaniu, że wcale nie należałem do pasjonatów literatury. Pilnowali programu a jeśli ktoś wylatywał dalej było im to zupełnie obojętne.

*

Pragnę wciąż odczuwać to ciche uniesienie, to uczucie silnego niewypowiedzianego porwywu jak dawniej gdy przystępowałem do książek. Wicher pragnień, który zrywa się z kolorowych grzbietów niech mnie znowu porwie, niech budzi niecierpliwie oczekiwanie, niech uskrzydla wspomnienia, niech zwraca młodoc.

Marian Ważny

Tragedia Żydów Lubaczowszczyzny

Co kryje Mokrzyca (2)

Ustanowiona na **Czereśniach** granica pomiędzy strefami sowiecką i niemiecką, z początku nie była szczelna, i przechodziło się ją dla odwiedzenia rodzin i dla handlu. **Dachnów** był po stronie sowieckiej, **Cieszanów** po niemieckiej. W strefie niemieckiej można było nabyć drobiazgi i artykuły przemysłowe, natomiast po stronie sowieckiej głównie naftę i żywność. Z czasem Rosjanie zaczęli umacniać teren przygraniczny. Nasilenie tych robót było głównie w maju, i do rozpoczęcia wojny niemiecko-bolszewickiej. Również ja, mieszkając w Lubaczowie i pracując tu w Polskiej Szkole Niepełnośredniej, na dzień 22 czerwca 1941 r. byłem wraz z całym gronem nauczycielskim wyznaczony przez kierownika szkoły **Lipińskiego**, do kopania rowów i okopów w pasie granicznym dla Rosjan, przeciw Niemcom. Miałem już w przeddzień przyszykowaną łopatę i coś do picia, gdy nazajutrz Niemcy od świtu uderzyli przeciwko Rosjanom, i ich zamiar wziął w łeb. Moja łopata tam się nie przydała, za to mnie służy do dziś.

Już może za tydzień czy dwa, Niemcy posunęli się za Sowietami na wschód, i można było odwiedzać na granicy na **Czereśniach** krewnych z Cieszanowa. Wówczas i ja, z żoną **Helena** i 3-letnim synem **Mietkiem** niesionym na plecach, spotkałem się tu z mieszkającym w Cieszanowie bratem. Od strony niemieckiej, ok. 5 m za dróżką na Czereśni, była budka strażnicza malowana w białoczerwone pasy, z żołnierzem uniemożliwiającym bliskie kontakty. Gdy zwrócił uwagę w innym kierunku, przerzucaliśmy sobie jakieś dary, rzeczy. Drugi raz na takie spotkanie nad granicę wybrałem się sam, i zaszedłem ją od strony **Nowego Siola**, naprzeciw „**Alei Kasztanów**” biegnącej do Dworu Gnoińskiego. Były jeszcze druty na granicy. Przyszedł też wtedy do tych drutów mój ojciec **Jan Szajowski** i mój starszy brat **Andrzej**. Przyniesli mi kilogram cukru. Byłem jeszcze drugi raz, gdy już bardziej złuzowano pilnowanie, wtedy przeszedłem granicę i nawet byłem w Cieszanowie w domu stryja **Piotra**.

Kiedy już „za Niemców” zniesiono kordon graniczny, w Cieszanowie bywałem jeszcze kilka razy. Mieli tam sklepy Rusini, np. mój kolega **Eustachy (Staszek) Garbaczewski**, miał sklep żelazny, i u niego kupiłem srebrzyste drzwiczki do pieca kaflowego (są przy piecu do dziś). Gdy byłem jeszcze raz, rowerem, dał mi ojciec grabie swojej roboty. Umocowałem je sznurkiem do ramy. Wracając, na **Hrynkowie** (Dachnów, niedawny POM, dziś zakład meblowy) wstąpiłem do **Feli** (nazwisko), który pracował tu w majątku **Sapieh**. Jako już wtedy filatelista, wymieniałem z nim znaczki pocztowe. Ukraińcy w tym czasie czuli się przy Niemcach panami sytuacji. Ktoś z Ukraińców z Cieszanowa lub **Hrynkowa** dał znać na policję w Lubaczowie, że pojedzie taki, i że trzeba go sprawdzić... W Lubaczowie przed szpitalem zagradza mi drogę Policja ukraińska... „Halt! Stijte, szczo wy wczete!”. Miałem meszty bez skarpetek- zdejmują, macają po plecach i nogach, patroszą kieszenie. Na rowerze miałem podany przez **Wincentego Horoszcza** pakunczek dla ich przyjaciółki **Stanisławy z Zuchorskich Świstowicz**. Rozpako-

wali, przelamali masło, nic nie znaleźli, pogrozili i w końcu puścili. Udało się, ale co się strachu najadłem, to moje.

Również w 1942 i 1943 r. chodziłem (pieszo) do Cieszanowa, gdy już były zorganizowane w Lubaczowie getto, i gdy na przełomie grudnia i stycznia 1943 r. Niemcy wyniszczali Żydów, posiłkując się wysługującymi się im Ukraińcami, głównie z ukraińskiej policji.

Zapamiętałem takie wydarzenie. Było to już po likwidacji getta. Stąd tak oceniam, bo byłem wówczas w domu w **Lubaczowie**, razem z żoną **Helena**, teściową **Katarzyną Margraf**... gdy uciekając z ulicy przed strzelaniną (Niemcy strzelali za Żydami) wpadła do nas stryjenka **Hela**, żona stolarza **Jana Margrafa**, i z twrogi schroniła się u nas, i została z nami. Nie wiedząc co się dzieje, siedzieliśmy razem, gdy nagle jedna z kul z naprzeciwka, od strony domów **Feliksa Fusińskiego** i **Nieckowej**, pod okapem przeszyla (przeorała) nam sufit i wbiła się tuż nad leżącą na łóżku **Katarzyną**. To Niemiec, którego potem widzieliśmy przez okno, strzelał za Żydami uciekającymi i chroniącymi się na posesji naszego sąsiada **Fusińskiego**.

W tym czasie m.in. został zastrzelony na żydowskim cmentarzu lubaczowski adwokat **Józef Osterman**. Z opowiadań wiem, że gdy Niemcy prowadzili Żydów z getta w stronę cmentarza, to Osterman szedł ostatni (tak też mówiła mi kiedyś **Zofia Mańkowska**, to naprzeciw jej domu). I na cmentarzu Osterman też był ostatni. Wyjął plik dolarów, i daje za uwolnienie niemieckiemu oficerowi. Nie przyjął od żywego... bo i tak za chwilę były jego. Widział to **Władysław Seredyński**, który wysługiwał się Niemcom.

Po fakcie z kulą nad łóżkiem oceniam, że widziana przeze mnie z dachnowskiej szosy na polach Mokrzycy sytuacja, którą opowiem, była po rozstrzelaniach Żydów przez Niemców na żydowskim cmentarzu, i po styczniowej likwidacji lubaczowskiego getta. Otóż... był rok 1943. Wracałem na piechotę żaśnieżonym gościńcem z Cieszanowa, przez **Dachnów**, gdy za **Hrynkowem**, na wysokości kończących się dachnowskich zabudowań (nieistniejący już dziś dom **Pietrasiewicza**), a tuż przed **Mokrzyką** usłyszałem strzały. Z miejsca około tego „**Krzyża przydrożnego**” (patrz- fot.), co nadal tam stoi przy drodze, widziałem po skosie po lewej stronie w polu, w odległości około 300 m, czarne zarysy postaci Żydów i krzających się obok osób z bronią. Było to w pobliżu, niemal na przedłużeniu naszego (mojej teściowej) mokrzyckiego pola.

To działo się przy wykopie pod zamierzony a nigdy nie wybudowany sowiecki bunkier. Gdy szedłem drogą dalej, odległość malała. Ten wielki wykop (dół z nasypem) był położony ok. 150-200 m od drogi **Lubaczów-Cieszanów**,

i niemal 1 km od drogi prowadzącej do **Mokrzycy** i **Zaluża**.

Gdy doszło do mnie, że tam dzieje się coś okrutnego, stanąłem jak wryty. Miałem tylko jedną myśl: „być w domu”. Skoro widzę ich, to i oni widzą mnie. Śnieżna równina, wszystko jak na dłoni. W zimie nie masz stojącego ładu, wysokiej trawy w którą się zapadniesz, ani krzaka z listowiem. Zbliżyłem się do prawego rowu, jakby chcąc być dalej, i zarazem mniej widocznym. Jak mogą strzelać tam, to i mogą strzelać do mnie, jako do niewiadomo kogo, i zupełnie im niepotrzebego świadka. Nie było odwrotu, byłem już



na wprost. Schylony, posuwałem się dalej. Widziałem jak po strzałach przechylały się i upadały kolejne ciemne zarysy. Z daleka widziałem jakby ciemne bryły postaci, które padały do dołu i zniknęły z pola widzenia. To jakby końcówka rozstrzeliwań, potem ostatnia jakby piątka stojąca w rozstawie ok. 2-3 m nad dołem, i ok. 4-5 nadzorujących, oprawców. Wprawdzie widziałem z daleka, ale byli to Niemcy z asystą ukraińskich policjantów. Innych postaci, czy też leżących na śniegu, nie widziałem.

Ciało przesywał mi dreszcz, jakby to mnie kule trafiały, a z każdym strzałem sobie wyobrażałem, że to mnie dziurawią. Miałem świadomość czego jestem świadkiem, że tam dzieje się coś strasznego, że to rozstrzeliwanie ludzi. Nie mogłem patrzeć. Miałem wtedy 30 lat, dziś o kolejne 65 lat więcej. Może również dlatego dziś nie pamiętam szczegółów, może gdybym wtedy nie bał się i mógł patrzeć, opowiedziałbym dziś więcej. Wydawało mi się, że jak nie będę tam w lewo patrzył, to chyłkiem przejdę niezauważony. Przesuwałem się, ale ze wzrokiem po ziemi i z duszą na ramieniu czekałem na strzały w moją stronę. Co by mnie uchroniło na równej śnieżnej bieli... bez żadnego załomu i ukrycia... Nic. Przyspieszyłem by jak najszybciej dopaść mostu, minąć szpital i poprzez zabudowania ul. **Mickiewicza** znaleźć się w domu.

Długo czulem odgłos tych strzałów, i „czulem karabiny” zwrócone w moje plecy. Długo, i do dzisiaj chodzą mi po głowie tamte fakty... Niemcy- Hitlerowcy, Rusini- Ukraińcy, Polacy, Żydzi, getto... Co kryje Mokrzyca... To w moim pokoleniu tkwi, jak i cała ta wojna. Miałem i mam świadomość, że wówczas mnie się udało. Tamtym i wielu innym nie.

Eugeniusz Szajowski

Por. pilot Stanisław Florian Walków z Cieszanowa (1914-1939)- cz. 2 (dok. z nr. 9/2007)

Serce matki czuje więcej

Pisze w swoim „Dzienniku” d-ca 3-go klucza 22 eskadry bombowej, por. pilot S. Wójcik: „...3 września 1939. Czekamy wszyscy przy maszynach... Wreszcie telefon- to dzwonił mjr Biały, aby załogi przygotowały się do lotu. Z radością biegnę do maszyny, mój mechanik kpr. Myszor patrzy na mnie jak na bohatera, ja znów chodzę dumny: przecież lecę zaraz bombardować Niemców... Zbiórka załóg do lotu. Zadanie- zbombardować kolumnę pancerną posuwającą się z Radomska do Pławna. Każdy klucz ma wyznaczony odcinek. Bombardowanie wykonać z wysokości 1500 m- start kluczy co 10 minut. Start pierwszej trójki za pół godziny. Dowodzę trzecim kluczem o 4 maszynach [pierwszym kluczem dowodził por. pil. Stanisław Walków]. Odcinek dla mnie: szosa w lesie Pławno. Zbieram swoich obserwatorów koło mej maszyny i daję ostatnie rozkazy. Mechanicy grzali już maszyny. Wszyscy mieli miny poważne, bo przecież mamy wykonać pierwszy nasz lot bojowy, nikt nie wie, jak on będzie wyglądał i jakie będą rezultaty. Każdy rwał się do maszyny... przygotowuję się do odlotu. Smutno było podawać ostatnie dyspozycje mechanikowi i zostawiać mu swoje dokumenty i pieniądze. Na stawiane samemu sobie pytanie- czy wrócić, nie mogłem odpowiedzieć. Wszystko było już gotowe do odlotu drugiego klucza. Myśli nie mogę skupić...

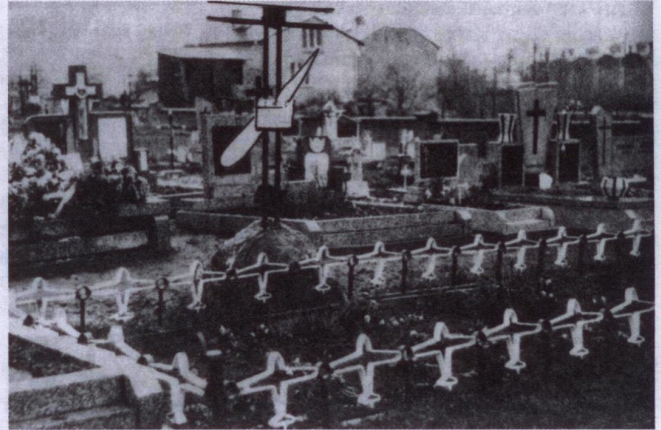


Kieruję się na Włoszczowę, nabieram wysokości 1500 m- kontroluję celownik i wyrzutnik bomb. Od Włoszczowy wchodzę na kurs bojowy- obliczyłem dane bombardowania i pokazałem bocznym obserwatorom... A oto cel- czołgi. Widząc nalot naszych maszyn zjeżdżają z drogi do lasu. Na mojej wysokości widzę nasze samoloty, które toczą zażarty bój z niemieckimi samolotami typu „Messerschmitt”. Na nic nie zwracam uwagi, nie zastanawiam się nad niebezpieczeństwem- lecę wprost na cel...”

[Po zrzuconiu bomb i wykonaniu zadania] „...nie wiedziałem, gdzie jestem, wiem że lecę na wschód- trzeba było przeprosić się z mapą... zobaczyłem lotnisko, pokazałem pilotowi i kazałem lądować. Na lotnisku były dopiero dwie maszyny, reszty brak. Podkołowałem pod las- zbiegli się mechanicy i koledzy, którzy wcześniej wylądowali, abym im opowiedział o swoich wrażeniach. W międzyczasie wróciły inne jeszcze maszyny, lecz znów brak niektórych. Zacząłem się denerwować, czekamy pół godziny- nie ma. Brak mego przyjaciela Walkowa, który poleciał z dowódcą eskadry w pierwszym kluczu- z tego klucza wróciła tylko jedna maszyna, a pilot tej maszyny powiedział mi, że widział jak maszyna dowódcy eskadry poszła na łeb ku ziemi nad Radomskiem. Pocięszam się jak mogę, nie może mi się w głowie pomieścić, że on mógł zginąć, może wyskoczył, może gdzieś wylądował!.. Ogólnie brak trzech maszyn- eskadra kruszy się, lecz to nas nie zalamuje, a jeszcze nas pobudza do walki- musimy pomóc, i to sromotnie. Przysięgam sobie, że za Walkowa zajdę pancerniakom za skórę.”

3 września 1939 r. Cieszanowianin- Stanisław Florian Walków w składzie 22 eskadry bombowej II/2 Dywizjonu Brygady Bombowej na samolocie PZL P-23B Karaś odbywał lot z załogą: d-ca 22 eskadry kpt. pil. Kazimierz Słowiński oraz kpr. strz. Stanisław Korytowski. Pilotował maszynę d-cy eskadry. Musiał być b. dobrym pilotem skoro dowodził pierwszym kluczem samolotów i skoro właśnie z nim leciał jego d-ca. Celem lotu było bombardowanie niemieckich kolumn pancernych w rejonie Radomsko – Gorzowice. Po wykonaniu zadania, gdy już się wydawało, że los się uśmiechnął, i że wszystko się udało, samolot został zestrzelony przez niemiecką obronę przeciwlotniczą w rejonie Zagorza. Zginęła cała załoga: Stanisław Walków ur.

7.11.1914 r., Kazimierz Słowiński ur. 26.02.1906 oraz Stanisław Korytowski ur. w 1916 r. Zostali pochowani we wspólnej mogile na cmentarzu w miejscowości Gidle pod Radomskiem (patrz fot.: Cmentarz w Gidlach. Zbiorowa mogiła lotników poległych w 1939 r.).



„Dowództwo eskadry obejmuje por. obs. Bolesław Nowicki, który natychmiast każe przygotować maszyny do lotu, podwiesić bomby... Robimy ogólny rachunek dnia dzisiejszego- 3 maszyny zestrzelone przed południem, 1 spalona po południu, 1 nie wróciła po południu; pozostało nam 5 maszyn i 15 ludzi załóg, 13 ludzi straciliśmy. Smutny rachunek- miny nam zrzedły- w ciągu pierwszego dnia walki mamy 50 proc. strat w ludziach i sprzęcie...”

Opowiada Eugeniusz Szajowski... „Matka Stanisława Walkowa, Maria Walków pochodziła z rodziny Furteków, a więc Staszek był siostrzeńcem Józefa Furteka, naszego cieszanowskiego nauczyciela matematyki i fizyki. Miał on 4 córki: Marię Walków, NN Meinhardt, Jadwigę Furtek (nie wyszła za mąż, pracowała w Kasie Chorych w Lubaczowie, potem w Rzeszowie) i NN Korzeniowską. Szwagrem Marii Walków był Marian Meinhardt. Należał do Sokola w Cieszanowie i był przyjacielem drugiego naszego nauczyciela ze szkoły powszechnej- Franciszka Ozimka z Dzikowa Starego, często razem ich widziałem. Z Meinhardtem spotykałem się potem w Rzeszowie w budynku Woj. Rady, gdzie prowadził stoisko z książkami (dyr. Domu Książki w Rzeszowie był jego zięć). Kupowałem u niego książki, a odwiedzałem go często, bo jako kier. Wydz. Handlu Przędz. PRN, wysyłało mnie na narady wojewódzkie. Podczas jednego z takich spotkań powiedział mi, że mamie Walkowej nigdy nie powiedział, że Staszek (d-ca klucza 22 eskadry bombowej, porucznik pilot Stanisław Florian Walków z Cieszanowa), zginął na wojnie. Ukrywali, tłumaczyli, zwodzili, że pewnie jest za granicą, że może przedostał się do Francji lub Anglii, że trzeba czekać, że wróci... Matka do ostatnich swych dni nie wiedziała tego, co wiemy dzisiaj my- to czytający, choć jak mówią... serce matki czuje więcej.”

Opowieść mojego ojca o Staszku z Żukowskiej ulicy, koledze ze szkolnej ławki, przyjacielu z młodzieńczych eskapad i pilocie, zafascynowała mnie i skłoniła do poszukiwań. Żmudnymi krokami doszedłem do cmentarza w Gidlach, gdzie 25- letniemu Staszкови dopełnił się los, gdzie zakończyły się marzenia o powrocie do Cieszanowa, marzenia o wolnej Polsce, o zobaczeniu się z matką i siostrą. Gdyby przeżył wojnę... opowiadałby o swych walkach uczniom lubaczowskich szkół. Niestety. Nie miał szczęścia. Byłby dumny z niego jego ojciec, któremu nie dane było widzieć dorastania urodzonego w 1914 r. syna. Ojca w tym czasie wojna zabrała z domu, i już nigdy do Cieszanowa nie powrócił. Zginął w I wojnie światowej. Teraz z jego syna- Stanisława Walkowa, może też być dumny i Cieszanów...

Wykorzystano: „Dziennik S. Wójcika”, relację E. Szajowskiego oraz książki: „Księga lotników polskich...” i „Polskie eskadry...”. Autor „Dziennika” (przyjaciel S. Walkowa)- por. pil. S. Wójcik dn. 24.04.1942 r. został zestrzelony przez Messerschmitta i zginął z załogą nad Wyspami Fryzyjskimi.

Adam Szajowski

19 sierpnia

W Nowym Siolu na terenie kąpieliska „Wędrowiec” Agnieszka L. z Chotylubia pobiła Katarzynę M., a Grzegorz Ł. z tej miejscowości pobił Artura M.

20 sierpnia

W Wielkich Oczach Władysław Cz. i Krzysztof K. dotkliwie pobili Andrzeja W.

19 -20 sierpnia

W Krowicy Samej nieznan sprawca poprzez wyważenie drzwi wszedł do niezamieszkałego budynku Adama J. z którego dokonał kradzieży licznika elektrycznego wartości 200 zł.

W Lubaczowie nieznan sprawca z baru „Eden” przy ulicy Słowackiego skradł parasol reklamowy „Leżajsk” wartości 500 zł.

22 sierpnia

W Koralówce patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał rowerzystę Dawida F. W wydechym przez niego powietrze było 2,16 promila alkoholu.

23 sierpnia

W Baszni Dolnej patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał rowerzystę Władysława O. W wydechym przez niego powietrze było 2,46 promila alkoholu.

24 sierpnia

W Łukwcu patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał rowerzystę Tadeusza P. W wydechym przez niego powietrze było 3,30 promila alkoholu.

25 sierpnia

W Wielkich Oczach patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał rowerzystę Jarosława O. z Polanki Horynieckiej. W wydechym przez niego powietrze było 1,86 promila alkoholu.

26 sierpnia

W Kobylnicy Ruskiej patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał Stefana W z Osady. W wydechym przez niego powietrze było 2,36 promila alkoholu. Nietrzeźwego rowerzystę Józefa K. z Niemstowa / 1,66 promila alkoholu/ patrol policyjny zatrzymał również w Ułazowie. Na przejażdżkę po pijanemu samochodem Seat Ibiza / 1,96 promila/wybrał się również Janusz M. z Lubaczowa oraz samochodem Fiat 126p Marcin J. z Prusia, którego



KRONIKA POLICYJNA

policyja do kontroli drogowej zatrzymała w Chlewiszowicach. W tym dniu policja do kontroli drogowej zatrzymała również woźnicę Pawła W. z Radruża, który kierował zaprzęgiem konnym mając we krwi 2,76 promila alkoholu.

Jan N. z Jędrzejówki pod adresem Bożeny L., Józefa i Władysława kierował groźby karalne.

29 sierpnia.

W Lubaczowie z jednego z mieszkań nieznan sprawca Bolesławowi L. skradł 2000 zł i 200 hrywien.

W Lubaczowie na Osiedlu Unii Lubelskiej patrol policyjny zatrzymał do kontroli drogowej Mariusza Ch. kierującego samochodem Renault. W wydechym przez niego powietrze było 0,78 promila alkoholu.

30 sierpnia

Na trasie Lubaczów - Horyniec Zdrój Wiesław W. kierujący BMW wjechał do przydrożnego rowu Jego pasażerka Zofia W. doznała złamania trzonu nosa.

4 września

W Kadłubiskach Jan T. z Łówczy poprzez wyrwanie deski w drzwiach włamał się do drewnutni Jacka T. i dokonał kradzieży drewna opałowego wartości 100 zł.

6 września

W Lipsku patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał rowerzystę Jana S. z tej miejscowości. W wydechym przez niego powietrze było 2,86 promila alkoholu. Amatorem jazdy na rowerze po wodce /2,90 promila/ był również Antoni S. z Horyńca Zdroju.

9 września

W Lubaczowie patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał rowerzystę Krzysztofa M. z Oleszyc. W wydechym przez niego powietrze było 2,83 promila alkoholu.

Paweł K. z Kobylnicy Wołoskiej kierujący samochodem Fiat Siena na łuku drogi zjechał do rowu i przewrócił pojazd. Obrażen doznała jego

pasażerka Józefa K.

W Werchracie Waldemar S. z tej miejscowości wyruszył w drogę samochodem Ford Escort mając w wydechym powietrze 2,48 promila alkoholu.

W Lisich Jamach patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał rowerzystę Piotra M. W wydechym przez niego powietrze było 2,79 promila alkoholu.

W Załużu patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał kierowcę samochodu Daewoo Tico kierowanego przez Wiktora S. W wydechym przez niego powietrze było 1,40 promila alkoholu.

11 września

Na trasie Cieszanów- Dachnow kierujący samochodem Opel Vectra nie zachował należytej ostrożności, zjechał na przeciwległy pas drogi a następnie wjechał do rowu gdzie kilkakrotnie koziołkował. Kierowca wraz z pasażerką zostali natychmiast przewiezieni do szpitala. Obydwójce byli pod wpływem alkoholu. Nie byli w stanie wyjaśnić jak doszło do wypadku.

11 września

W Świdnicy nieznan sprawca poprzez przepiłowanie kraty i wybicie szyby włamali się do sklepu „Wimar” i z kasy fiskalnej zabrali 500zł.

12 września

W Łukawcu patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał samochód „Chryster”. Jego właściciel Adam B. z Zamościa kierował pojazdem mimo zakazu sądowego.

12 - 13 września

W Dachnowie nieznan sprawca poprzez zerwanie kłódki w drzwiach włamali się do magazynu Władysława K. z którego skradli silnik samochodowy „Ford Mondeo” wartości 2000 zł.

13 września

Zbigniew Ł. z Łówczy od 2006 roku znęcał się psychicznie i fizycznie nad swą żoną Iwoną Ł.

15 września

W Lisich Jamach patrol policyjny do kontroli drogowej zatrzymał rowerzystę Piotra M. W wydechym przez niego powietrze było 2,79 promila alkoholu.

Dekanalno -gminne dożynki w Wólce Krowickiej Plon, niesiemy plon

Żniwa w gminie Lubaczów zakończono. Czas na świętowanie i zabawę. W niedzielę (26 sierpnia) spod budynku Gimnazjum w Wólce Krowickiej korowód złożony z orkiestry dętej, pocztów sztandarowych, wieńców dożynkowych, gości, mieszkańców gminy ruszył do miejscowego kościoła, by podziękować Stwórcy za tegoroczne plony. Mszę św. dziękczynną odprawił dziekan lubaczowski ks. Andrzej Stopyra w asyście proboszcza parafii Lisie Jamy ks. Mariusza Kota i rodaka tej miejscowości, długoletniego proboszcza w parafii Łukawiec ks. seniora Józefa Kornagi. W homilii dziekan podziękował rolnikom za ciężką pracę na roli i za chleb upieczony z tegorocznej maki.

Dalsza część dożynek odbyła się na stadionie miejscowego klubu sportowego „Rolnik”. Członkowie zespołu śpiewaczego „Niespodzianka” z Krowicy, przebrani w stroje żeńców przedstawili inscenizację „Plon, niesiemy plon”, w której ostatni snop żniwny i chleb upieczony z kłósów zbóż podarowali gospodarzowi gminy Lubaczów, wójtowi Wiesławowi Kapłowi. Ten podziękował rolnikom za żniwa i zaprosił do zabawy. Concertowała orkiestra Towarzystwa Muzycznego i zespół „Pawlaki” z MDK w Lubaczowie. Gminni starostwie dożynek: Małgorzata Głuszek z Krowicy Samej i Zbigniew Dorota z

Lisich Jam oraz starostwie wsi: Małgorzata Furgała i Artur Sęga częstowali tegorocznym chlebem, poświęconym podczas Mszy św.. Panie z kół gospodyń wiejskich z Młodowa, Załuża, Krowicy, Budomierza, Basznie Dolnej i Górnej, Bałajów i Wólki Krowickiej serwowały regionalne potrawy.

Dużym zainteresowaniem cieszył się



Robienie powróseł przez Gospodarzy Roku

konkurs wieńców dożynkowych. Jurorzy uznali za najciekawszy „Miedelnica lnu”, zrobiony przez panie z Bałajów, drugie miejsce przyznali wieńcowi „Przemienienie i miłość” z Wólki Krowickiej, a trzecie „Kucielowi ludu” z Krowicy. Wyróżnienia przyznali dla wieńców „Żniwa” z Budomierza i „Dary lasu -grzyb” z Młodowa..

Emocjonującym i dostarczającym wiele śmiechu był konkurs na „Gospodynię i Gospodarza Roku 2007”. By nią zostać musiały panie batem tłuc jaja, w maślnicze robić ze śmietany masło, wypić szybko przez słomkę sok, celnie trafić walkiem do środka opony. Gospodynią Roku została Jadwiga Gelmuda z Bałajów. Wygrała przed Elżbietą Ilnicką z Wólki Krowickiej i Marią Skibicką z Krowicy Hołodowskiej. Gospodarzem Roku został ten z mężczyzn, który szybko przez słomkę wypił kufel piwa, najszybciej cepem wymłócił stop zboża, celnie rzucił podkową, zrobił ze złomy najwięcej powróseł. Zwyciężył Bogusław Frant z Bałajów przed Tadeuszem Dzikim ze Szczutkowa i Tadeuszem Mazurkiewiczem z Wólki Krowickiej. Dużym zainteresowaniem cieszyła się też loteria fantowa. Podobały się publiczności występy zespołu wokalnie-muzycznego „Echo” i kabaretu złożonego z absolwentów gimnazjum z Wólki Krowickiej. Dowcipnie konferansjerkę prowadził p. Błąd z Rzeszowa, członek kabaretu „Kaczka pchnięta nożem”. Dożynki zakończone zostały zabawą taneczną.

W tę niedzielę odbyły się także gminne dożynki w Ułazowie (gmina Stary Dzików) i w Horyńcu Zdroju. **Adam Łazar**

Zwyczajny niezwykajny

Miał 4 lata gdy w 1944 r. jego rodzice jak wielu Polaków uciekających przed ukraińską rzezią, wydostali się z **Ulicka** (dziś Ukraina), i przemierzając tereny wschodniej Polski, zatrzymali się w Trzydniku Dużym k. Kraśnika. Tam w 1945 r. urodziła się siostra **Maria**. Los pokolenia rzuconego wojną, najczęściej nie był laskawy. Ojciec na wskutek tułaczki i niedostatku i warunków w których nagle przyszło żyć, zachorował na zapalenie płuc i zmarł w 1947 r. Odtąd trzeba było sobie radzić samemu. Ale jak radzić sobie gdy ma się 7 lat a siostra zaledwie 2... Heroizm matki pozwolił przetrwać.

Szkółę podstawową ukończył w **Baszni**. Potem 3-letnia nauka rzemiosła kołodziejskiego u mistrza **Franciszka Szpyta** w **Lubaczowie**. Zdaje egzamin przed komisją kwalifikacyjną. Zostaje czeladnikiem u kołodzieja **Władysława Petrusa** w **Lubaczowie**, uzyskując świadectwo i dyplom w zawodzie „Kołodziejstwo pojazdowe”, wydany przez Izbę Rzemieślniczą w Rzeszowie. To mu było mało. Praktykuje stolarstwo u mistrza stolarskiego **Michała Franusa** w **Lubaczowie**. Zdaje egzamin i otrzymuje kolejny dyplom, tym razem w zawodzie „Stolarstwo”. Zatrudnił się w brygadzie remontowo-budowlanej przy Kombinacie PGR w **Horyńcu**, jednocześnie pracował na gospodarce. Od 1980 r. do emerytury pracował jako palacz centralnego ogrzewania i przy obsłudze pieców wysokoprężnych w Cegielni **Basznia Dolna** wchodzącej w skład jarosławskiego Przedsiębiorstwa Ceramiki Budowlanej. Tak z **Józia** wyrósł fachowiec **Pan Józef**.

Żona- **Stanisława** pochodzi z **Baszni**. Żonę i dzieci ma każdy... nie każdy jednak ma 4 córki, z których połowa jest „w służbie Bogu”. **Barbara** z 1968 r., mieszka na ojcowiznie w Baszni. **Danuta** i **Helena**- bliźniaczki z 1970 r. są w Zakonie. **Danuta** w Pacanowie w Zgromadzeniu Sióstr Kanoniczek Ducha Świętego, imię zakonne **Letycja**, natomiast **Helena** w Zgromadzeniu Sióstr Benedyktynek w Przemyślu- imię zakonne **Klara**. **Anna** z 1973 r. jest zamężna i mieszka na żywiecczyźnie. **Pan Józef** mówi, że „*Wnuki najstarszej córki to chłopcy na 1,80 m, ale żaden nie garnie się do zawodu dziadka. Stolarskie narzędzia i maszyny które dla mnie były wszystkim, na nich nie robią wrażenia. Co innego samochody czy komputery...*”

Pan Józef posiada warsztat stolarski. Komuś tam dorobi drzwi, okno, szafkę, ławę, stół, coś toczzonego, czy choćby na własne podwórze gołębnik. Lubi majsterkować, nie usiedzi, coś musi robić, naprawiać, poprawiać, tworzyć. Jak mówi, „*jedni mają władzę, inni talent, a niektórzy obdarzeni są wielością talentów, i to tylko dlatego, że uporczywą pracą dzień po dniu, ciągle je pomnażają. Tylko trening czyni mistrza*”.

Realizuje się nie tylko fizycznie. Kiedyś, gdy przegrał proces w sądowym postępowaniu spadkowym, i przyszło mu bronić swoich racji w Sądzie Najwyższym, bez podręcznika palestry, tłumaczył się „na chłopski rozum” tak skutecznie, że o dziwo choć nie zrozumiano go w Lubaczowie, bez problemu zrozumiano go w

Warszawie. Proces wygrał, i jak mówi: „*To mnie zachęciło. Uwierzyłem, że brak wykształcenia nie jest rozsądkowi przeszkodą a myślenie zawsze jest w cenie. Zaczęłem pisać. To zmusza do starannego wyrażania myśli, do dyscypliny przy doborze słów. Ta ucieczka w utrwalanie myśli pchała mnie do formy większej. Zabrałem się za rozprawki o podłożu refleksyjno- religijnym, skierowane do młodzieży.*”

Zatrzymał się na 150 stronach maszynopisu o wizji i ocenie życia, o postępowaniu. To jakby rady i dzielenie się doświadczeniem na tle 10 przykazań. Całość to 83 tytuły podrozdziałów spięte 7 rozdziałami, w których odsłania wzniosłe i zwykle, wesołe i smutne chwile z życia własnego i swojej rodziny. Oto niektóre z nich: „Ojcowski dom”, „Na dobre i na złe”, „Zdrada i gwałt”, „Kochać inaczej”, „Dzisiejsza młodzież”, „Kobiety najciekawsze istoty”, „Nie jest dobrze aby mężczyzna był sam”, „Małżeństwo”, „Sens życia”, „Rodzina”, „Niespełnione marzenia”, „Dom spokojnej jesieni”, „Przemijanie”, „Powołanie”, „Rubinowy jubileusz”.

Nie jest to może jakość i kunszt noblisty, ale jakość naturalnie autorsko proporcjonalna. Przyznać trzeba, że rozmyślania to nie typowe jak na palacza z Cegielni **Basznia Dolna**, kołodzieja i stolarza w jednej osobie a przy tym rolnika na niemal 4 ha. Bo też nietypowym jest **Pan Józef**. Uczynny, grzeczny, pomocny, ale i chodzący swoimi ścieżkami. Ważne, że na te ścieżki zabiera swój rozum i używa go. Razem jest im dobrze. Razem odkrywają to, na co nie mieli czasu w przeszłości. Chciałby aby jego przemyślenia komuś się przydały. Ale też wie, że tak nie musi być. Porozmawiać szczerze z samym sobą, to też ważne, a nie wszyscy są do tego skorzy. Nie wierzysz? Zapisz kiedyś swoje myśli, tak prawdziwie wszystkie (te kudłate też), a kto wie czy potem to czytając, nie przestraszysz się. A już na pewno nie pokażesz tego nikomu. Czy nie tak? Nie jest łatwo się wynurzać, otwierać. Trudno jest też pouczać, gdy nie jest się przykładem. A zostawić dzieciom rzetelne wspomnienie o sobie, może to jest właśnie to...

Pan Józef jest przekonany, że być patriotą, jest ważne. Patriotą lokalnym, ojczyznianym, patriotą swoich przekonań, i jak twierdzi: „*Widać na moim przykładzie, że do patriotyzmu nie jest konieczna matura. Poza tym, człowiek powinien być człowiekiem. Można spotkać normalnych niewykształconych, jaki i wykształconych warchołów. Patrząc na dzisiejsze elity polityczne... czy nie za dużo jest mądrali a za mało mądrych?*”

Pan Józef ma swoje przemyślenia i zaskakująco proste, i skrótem biegnące recepty na wiele spraw. Odnośnie ekologii... „*Chciałbym by nie brudzono mi Morza Bałtyckiego, by ekolodzy nie musieli spać na drzewach ale we wła-*

snych łóżkach, żeby życie ludzkie nie było mniej ważne od żabek i motyli, żeby Unia Europejska nie troszczyła się nadgorliwie o „małe bagienko” a przymykała oczy na morze z potężnym gazociągami”.

Pan Józef musi coś robić... „*Miejska bezczynność mnie męczy, więc z chęcią rowerem albo motorowerem wracam na swoje „ranczo” do Baszni, gdzie mam wszystko pod ręką, gdzie ludzie życzliwi, gdzie ptak i każde źdźbło gdzie wita, gdzie jest czym oddychać, i gdzie nawet pot pracy słodko smakuje. Działanie i ruch traktuję jak terapię, która regeneruje mój reumatyzm. Ale widać nie dość jeszcze pracuję, skoro go mam.*”

Nie usiedzi bezczynnie. Tak wiosną powstały 4 samoloty. Jeden już podarował wnukowi. Okienka mozołnie wywiercane mnóstwem ilości otworków i do perfekcji dopiłowywane. Gdzie trzeba- drewno, gdzie trzeba- metal, plastik, szlifowanie i toczenie, malowanie metalikiem. Kręcą się kółka, można włączyć oświetlenie kabiny i światła pozycyjne, jest nawet ostrzegawczy przerywany sygnał świetlny. I co Wy na to? To właśnie znaczy mieć pod siedemdziesiątkę, i „być pozytywnie zakreconym”. Pieczołowicie



układamy samoloty „I-szej Basznieńskiej Podwórzowej Eskadry Pana Józefa” na trawie, niczym na lotnisku. Zapraszamy twórcę do zdjęcia... Z oporami i z miną „Ja nie!”, w końcu zgadza się. Jest krzesło. Metalik skrzy w słońcu. Pstryk.

Dlaczego akurat samoloty? Nie wie, nie odpowiada wprost, względnie nie uważa motywację za istotne. Dla niego ważne jest „chcieć i zrobić”. A że zrobić chciał, jest. Mieć przyjemność w tworzeniu i wykonać zamiar- to najważniejsze i to wszystko. Dalszy cel- po co? Nie wystarczy „sprawdzić się”? **Pan Józef Lechoszczest** mierzy siły na zamiary. Mówi: „*Chcę robić coś więcej, niż tylko- żyć. Póki intuicja mnie nie zawodzi, a zdrowie jako takie, kończę co zaczynam. Dewiza „Módl się i pracuj” jeszcze mnie nie zawiodła. A dlaczego samoloty?[- pyta sam siebie...] Równie dobrze mógłbym rzeźbić wiatr... ale już chodzi mi po głowie nowy pomysł... rakiety.*”

Adam Szajowski

Z wizytą w Dolinach

Doliny są małą wsią, położoną około 8 km na północ od Cieszanowa. Przez długi okres miejscowość była przysiółkiem Żukowa. Zamieszkiwali ją Polacy i Ukraińcy. Dziś niewiele osób wie, że w okresie zaboru austriackiego, aż do wybuchu I wojny światowej, w Dolinach stacjonował pułk huzarów węgierskich. Znajdowały się tu budynki koszar, strzelnica, a także poczta.

Według miejscowego podania węgierski major Galoczy z garnizonu huzarów z Dolin zakochał się w córce Kuryłowicza – właściciela folwarku Borek w Żukowie. Miała ona na imię Olga. Jej również bardzo podobał się młody oficer. Kuryłowicz niechętnie patrzył na romans córki, gdyż snuł plany wydania jej za kogoś innego. Poza tym Galoczy był innej narodowości. Jednak Olga wymogła na ojcu zgodę na małżeństwo. Rozpoczęły się przygotowania do wesela. Tymczasem tuż przed weselem oficer posmutniał i niespodziewanie wyjechał. Olga zaczęła się bardzo niepokoić długą nieobecnością narzeczonego. Jej ojciec udał się do dowódcy pułku, gdzie dowiedział się, że Galoczy jest

żonaty i na własną prośbę przeniósł się do garnizonu wojskowego w innej miejscowości. Dziewczyna z rozpaczy popełniła samobójstwo. W napisanym przed śmiercią liście prosiła, by na jej grobie umieszczono napis: „Do świata z tego świętego miejsca muszę rzeknąć Tobie, poznawszy żeś Ty oszust – wolę leżeć w grobie.” Podobno napis na jej nagrobku widoczny był jeszcze po II wojnie światowej, ale z czasem uległ zniszczeniu.

Najtragiczniejszym okresem dla mieszkańców Dolin była II wojna światowa. W wyniku wytyczenia granicy niemiecko – sowieckiej, jesienią 1939 r. miejscowość znalazła się pod okupacją niemiecką. Jeden z mieszkańców Dolin Józef Ważny przedostał się przez Węgry, Jugosławię, Grecję do Syrii, gdzie przydzielono go do 5. kompanii I Pułku Strzelców Karpaccich. Uczestniczył m.in. w walkach pod Tobrukiem i o Monte Cassino. Zginął 9 VII 1944 r. pod Cappo we Włoszech. W 1998 r. odbyła się uroczystość nadania Szkole Podstawowej w Kowalówce imienia Józefa Ważnego.

Pod koniec czerwca 1943 r. większość mieszkańców Dolin została przez Niemców wysiedlona ze wsi. Były to m.in. rodziny: Sikorów, Kolbuchów, Klimków, Zygarelickich i Ważnych. Po spędzeniu tamtejszej ludności oraz mieszkańców pobliskich miejscowości do lasu „Korczunek”, przetransportowano ich samochodami do Suśca, do obozu przejściowego. Następnie zostali przewiezieni w wagonach towarowych do obozu Rotunda w Zamościu. Po trzech tygodniach wywieziono ich do Lublina, gdzie przeprowadzono wśród nich selekcję. Mężczyzn wysłano na przymusowe roboty do III Rzeszy. Kobiety z dziećmi oraz starców skierowano do obozu na Majdanku, w którym wiele z nich zginęło.

2 V 1945 r. na terenie Dolin doszło do spotkania członków polskiego i ukraińskiego podziemia zbrojnego. Stronę polską reprezentował komendant rejonu Susiec Obwodu Tomaszów Lubelski AK – DSZ por. Marian Warda

ps. Mały, zaś ukraińską referent organizacyjny II Okręgu OUN Mikołaj Wynnyczuk ps. Wyr, Kornijczuk. Były to wstępne rozmowy, mające na celu ustalenie warunków zaprzestania działań zbrojnych między Polakami a Ukraińcami. Właściwe rozmowy odbyły się 21 V 1945 r. w tej samej miejscowości. Uczestniczyli w nich ze strony polskiej: por. Marian Warda ps. Mały, inspektor Inspektoratu Zamość AK – DSZ kpt. Marian Gołębiowski ps. Ster, jego zastępca Stanisław



Książek ps. Wyrwa, komendant Obwodu Tomaszów Lubelski AK – DSZ Jan Turowski ps. Norbert i dowódca oddziału leśnego Narodowego Związku Wojskowego (NZW) ppor. Franciszek Przysiężnik ps. Ojciec Jan. Przedstawicielami strony ukraińskiej byli: referent „Wyr”, członek Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej (UHWR) płk Jurij Łopatynski ps. Szejk i Sergiusz Martyniuk ps. Hrab. Doszło wówczas do podpisania porozumienia o zawieszeniu broni. Rozgraniczono w terenie strefy wpływów oddziałów AK – DSZ i UPA. Podjęto decyzję o zaprzestaniu ataków na ludność cywilną oraz o wzajemnych kontaktach, zwalczaniu popolitego bandytyzmu (w tym licznych grup rabunkowych, kradnących konie) i komunistycznych agentów. Porozumienie objęło powiaty: Chełm, Biłgoraj, Hrubieszów, Tomaszów Lubelski i Lubaczów. Dzięki zawieszeniu broni, zwanemu potocznie „mirem” (pokojem), w ciągu kilku miesięcy znacznie zmniejszyła się liczba ataków na ludność cywilną. Wielu Polakom i Ukraińcom ocaliło ono życie.

W 1946 r. kilkanaście osób narodowości ukraińskiej z Dolin zostało przymusowo wysiedlonych do USRR. W ramach akcji „Wisła”, wiosną 1947 r., na Ziemi Odzyskane przesiedlono z miejscowości 16 mieszkańców – Ukraińców i członków polsko – ukraińskich rodzin mieszaných.

Obecnie Doliny liczą zaledwie 17 gospodarstw i blisko 60 mieszkańców. Sołtysiem wsi jest Władysław Gumieniak.

Warto odwiedzić Doliny ze względu na znajdujące się tu interesujące zabytki. Jednym z nich jest murowana rzym-

skokatolicka kaplica pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej. Do jej budowy przystąpiono w 1923 r., używając cegieł ze zniszczonych koszar. Ze względu na brak środków finansowych, prace posuwały się bardzo powoli, ale dzięki dużemu zaangażowaniu ks. Józefa Smaczniaka z Cieszanowa, kaplicę oddano do użytku w 1925 r. Została ona wybudowana na parceli ofiarowanej przez Annę i Jana Kasperskich. Na początku lat 60 – tych XX w. w pobliżu kaplicy dokonano odwiertu, w poszukiwaniu złóż gazu ziemnego. Spowodował on pęknięcia murów i sklepienia budowli. Po ponad dwóch latach starań ks. Józefa Kłosa o zezwolenie władz, w 1968 r. przeprowadzono jej remont. Wymieniono konstrukcję dachu, ułożono posadzkę z płytek, wstawiono nowe drzwi i założono instalację elektryczną. Prace remontowe miały miejsce także w latach późniejszych. W ich trakcie wybudowano ogrodzenie, a w 1999 r. ponownie naprawiono dach, otynkowano kaplicę z zewnątrz i pomalowano w środku. Na ścianie frontowej umieszczono wówczas 10 tablic Dekalogu. W pobliżu umiejscowiona jest kapliczka z figurą Matki

Boskiej z początku XX w.

Po prawej stronie drogi z Dolin do Kowalówki znajduje się klasycystyczny, kamienny pomnik w kształcie kolumny, z figurą Matki Boskiej. Według legendy w miejscu, gdzie stoi pomnik, cudem uniknął śmierci od uderzenia pioruna, jadący na koniu Rajmund Romuald Dornbach – właściciel majątku w Dolinach. Na odwrocie piedestału przetrwała do naszych czasów marmurowa tablica z napisem: „Raymund Romuald Dornbach fundatorem tego pomnika 1843”.

Dziś po garnizonie huzarów węgierskich w Dolinach pozostało niewiele śladów. Jednym z nich są pozostałości strzelnicy w postaci dwóch nasypów ziemnych, znajdujące się w lesie, niedaleko wsi. Innym, nie mniej ciekawym dowodem na istnienie w miejscowości wspomnianego garnizonu wojskowego, jest unikatowa pocztówka z początku XX w. „Grüss aus Doliny bei Cieszanow” („Pozdrowienia z Dolin koło Cieszanowa”) ze zbiorów Sławomira Roga, przedstawiająca widok ogólny Dolin, rosyjski posterunek graniczny, rosyjską kuchnię polową i huzara węgierskiego na koniu, której kopię prezentuję w niniejszym artykule.

Tomasz Róg

KRESOWIAK GALICYJSKI

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów, ul. Leśna 9, tel. kom. 661 631 213

Wydawca: Agencja Reklamowo-Marketingowa „OPINIA”, Rzeszów, ul. Zbyszewskiego 8/25, tel. (017) 856 86 99

Redaktor naczelny: Marian Ważny

Zastępca redaktora naczelnego: Lidia Świder

Współpracują: Adam i Eugeniusz Szajowscy, Wiesław Kołodziej, Adam Łazar, Tomasz Róg, Waldemar Bałda.

e-mail: kresowiakgalicyjski@wp.pl

strona internetowa: www.kresowiak.cieszanow.pl

Prenumeratę Kresowiaka Galicyjskiego przyjmują jednostki "Ruch" S.A.

Druk: Drukarnia KOLOR-DRUK, 37-500 Jarosław, ul. Podzamcze 28b, tel./fax: (016) 621 62 31. www.kolordruk.com.pl e-mail: kolordruk@onet.pl